

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

W. LIS.

Nowa oznaka naprężenia sytuacyi międzynarodowej.



Zjawienie się u ludów wschodnich samowiedzy narodowej, uważane do niedawna — przynajmniej u nas, i to w pewnych „trzeźwych" sferach — za interesującą anegdotę, coraz donioślej zaczyna oddziaływać na Europę. To oddziaływanie przejawia się w dwóch postaciach: niekiedy przybiera ono formę wyraźnych, jawnych wystąpień dyplomatycznych, lub wojennych, wywołanych chęcią zagarnięcia jakiegoś terytoryum, do którego dane państwo europejskie oddawna miało „uzasadnione" pretensye, a które obecnie zaczęło przekształcać się w nowoczesne państwo, mogące z czasem stać się nawet groźnym przeciwnikiem; do tej kategoryi zaliczyć można brutalne najazdy Włoch, Rosyi i Anglii na Turcyę, oraz Persyę; drugą formą zawikłań politycznych, wywołanych powyższem nowem w dziejach świata zjawiskiem, są zatargi między państwami europejskiemi, które dotąd nie doprowadziły wprawdzie w żadnym wypadku do wojny, okryte są mrokiem tajemnicy gabinetów dyplomatycznych, ale z czasem też wychodzą na jaw i stają się coraz ostrzejsze.

Takim zatargiem, który uzewnętrznił się dopiero po upływie dłuższego czasu, była sprawa między Niemcami, a Francyą i Anglią o Marokko. Jeszcze niedawno nie wiedziano o tem prawie nic, oprócz głuchych, niesprawdzonych pogłosek i plotek giełdziarskich. Początek „rewelacyom" dał poseł holenderski, T r o e l s t r a, zdradzając światu słynne obecnie starania rządów o interwencyę pokojową Międzynarodowego Biura Socyalistycznego. Potem posypały się informacye, aż wreszcie kierownicy polityki dwóch najbardziej zainteresowanych państw uznali za stosowne udzielić swym parlamentom długich wyjaśnień. Dziś można uważać za stwierdzone, że przynajmniej w jednym wypadku (w lipcu), a pono jeszcze w drugim, oraz trzecim, sytuacya była tak naprężona, że wojna wisiała na włosku. I chociaż do wojny tej szykowały się na razie tylko trzy państwa — Anglia, Francya i Niemcy, ale można z zupełną pewnością powiedzieć, że Austrya nie odstąpiłaby swego wiernego sprzy-

mierzeńca, choćby za to, że oddał on jej, w r. 1909 niedźwiedzią przysługę, zapobiegając wojnie z Rosyą, która w przeciwnym wypadku byłaby prawdopodobnie już dziś zredukowana do swych naturalnych granic, obcięta z prowincyi nadbałtyckich, Litwy, Królestwa i Ukrainy, no i... obdarzona kadecką konstytucyą. A w razie wojny Austryi i Niemiec przeciw Francyi i Anglii, wątpić należy, by mogła zachować neutralność wierna „aliantka“ Francyi — Rosya, poczem nastąpiłoby to samo, co powinno było nastąpić $2^1/_2$ lata temu.

Dla ludu polskiego, specyalnie zaś dla jego odłamu, zamieszkującego Galicyę i Śląsk, wskazania byłyby w takim wypadku niezmiernie jasne i wyraźne. Wojna Niemiec z Anglią nie obchodzi nas ani trochę i gdybyśmy mieli jakąkolwiek możność jej zapobiedz, to powinnibyśmy to uczynić. Ale możności tej nie mamy, przeciwnie, państwo, pod którego rządami przebywamy, złączone jest z monarchią niemiecką przymierzem, z czem należy się liczyć, jako z faktem realnym, dopóki się tego faktu nie potrafi zastąpić czemś innem. W razie zaś rozszerzenia się zakresu wojny na Rosyę, żołnierze galicyjscy wiedzieliby, że zwalczając pułki carskie, niosą wolność milionom Polaków i Rusinów, pozbawionych dzisiaj wszelkich praw ludzkich.

Oto są refleksye, które nasuwają się przedewszystkiem przy rozważaniu sprawy Marokkańskiej, przyczem pomijam szczególnie całą masę szczegółów, wniosków i zastrzeżeń, które należałoby uczynić, gdyby ta kwestya była aktualną, nie zaś — pogrzebaną na wieki.

Jeden wyjątek warto jednak uczynić, mianowicie przypomnieć jeszcze raz, że dzieje ostatniego zatargu wykazują tak dobitnie, jak rzadko kiedy, całą „mizeryę“ parlamentaryzmu austryackiego, mianowicie absolutną niezależność władzy wykonawczej od „przedstawicieli ludu“ w sprawach, które rozstrzygają o życiu i śmierci setek tysięcy, o szczęściu — milionów. Co prawda, i w Anglii parlament dowiedział się o tem, że wojna groziła, dopiero *post factum*. Ale zaledwo to wyszło na jaw, natychmiast posypały się interpelacye, wnoszone nie tylko przez opozycyę, ale i przez posłów rządowych, ministeryum udzieliło wyjaśnień zupełnie wyczerpujących, to też można być pewnym, że nawet wtedy, gdy ono działało tajnie i na swoją rękę, liczyło się z tem skrupulatnie, coby na to powiedziała opinia publiczna. W Austryi zaś ma się wrażenie, że posłowie, nawet należący do opozycyi bardzo wyraźnej, wstydzą się podnosić kwestye z zakresu stosunków międzynarodowych. Nic więc dziwnego, że ministrowie mają w podobnych wypadkach zupełnie wolną rękę.

A teraz, gdy minęło jedno niebezpieczeństwo, dowiadujemy się, iż groziło nam inne jeszcze. Pojawiła się bowiem nagle wiadomość, że szef sztabu generalnego, p. Conrad baron von Hötzendorf, ustępuje ze swego stanowiska. Fakt taki, w chwili, gdy o miedzę toczy się wojna, nie mógł nastąpić bez bardzo poważnych powodów. To też posypały się komentarze. Mówiono, że p. Hötzendorf nie był zadowolony z rozmiarów kredytu, który ma być udzielony wojskowości, że pragnął znacznego powiększenia ilości rekruta itp. Jednak, choć powody te mogły przyczynić się do decyzyi b. szefa sztabu, wątpić należy, by one skłoniły do ustąpienia człowieka, tak, jak on, do swego fachu przywiązanego, który ogromnie dużo na tem polu (z punktu widzenia interesów armii) dokonał i nie może nie zdawać sobie sprawy, jak ważnem jest właśnie w czasie wojny między dwoma sąsiadami znajdowanie się jego na czele armii. To też od pierwszej chwili zjawiły się pogłoski, że przyczyną ustąpienia szefa sztabu była jego chęć rozpoczęcia akcyi zaczepnej przeciwko Włochom, co nie znalazło w sferach rozstrzygających uznania. Zaś dnia 1-go grudnia ogłoszony został w *Neue Freie Presse* następujący, najwidoczniej inspirowany komunikat („z wyjątkowo wybitnych sfer wojskowych“ — jak powiada gazeta):

„Minister spraw zagranicznych potrzebuje armii, aby w danym wypadku politykę swoją przeprowadzić siłą, wymaga zatem, by jej wystąpienia odpowiadały jego celom politycznym.

„Zaś szef sztabu generalnego nie może odpowiadać potrzebom swego urzędu, jeżeli nie śledzi za polityką zewnętrzną i nie przystosowuje swych wniosków, oraz czynności do konstelacyi politycznej, którą zawczasu przewiduje.

„Z tych punktów stycznych wynikają łatwo starcia. W ostatnich czasach przeciwieństwa między hr. Aerenthalem a bar. Conradem doszły do takich rozmiarów, że stosunek stał się niemożliwym.

„Ponieważ zmiana osoby ministra spraw zagranicznych wydawała się panującemu niemożliwą, ze względu na ogólną sytuacyę, przeto musiał ustąpić szef sztabu“.

Komunikat ten zdaje się potwierdzać przypuszczenia wyżej wyłuszczone. Były szef sztabu wie dobrze, że „aliant“ południowy Austryi gromadzi na jej granicy coraz większe siły wojenne; nie są mu obce pożądania irredentystów; zna on widoki Włoch na Albanię, które z punktu widzenia interesów politycznych i handlowych Austryi są zupełnie niedopuszczalne; pragnął zatem skorzystać z ciężkiego położenia, w jakiem Włochy się znajdują, by czynnie przeciwko nim wystąpić. Jednak „ze względu na ogólną sytuacyę“, to jest — na możliwość innych komplikacyi politycznych, które mogą wymagać całej siły trójprzymierza, choćby jako tako sklajstrowanego, postanowiono od tego zamiaru odstąpić.

Nie jest zupełnie naszem zadaniem ocena, kto w tym wypadku ma słuszność, tem bardziej, że z ustąpieniem p. v. H. sprawa jeszcze bynajmniej przesądzona nie jest, zwolennicy jednego i drugiego poglądu pozostali na pewno przy swem zdaniu, nie wiadomo zaś, w jakim kierunku rozwój wypadków pchnie monarchię w najbliższej przyszłości. Jak zwykle, miarodajne mogą być dla nas w tej sprawie tylko interesy ludu polskiego.

Wszelka wojna, z wyjątkiem wojny z Rosyą, musi być dla ludu polskiego i ruskiego wysoce antypatyczną, gdyż wróży mu wiele klęsk, a żadne, albo bardzo małe korzyści. I do tej kategoryi starć zbrojnych, które można tylko znosić — gdyż niema się możności zapobieżenia — należałoby odnieść ewentualną wojnę z Włochami, choćby ona miała uniemożebnić w przyszłości jakiś zbójecki napad Włochów na Albanię, lub niespodziewane zwrócenie się tego państwa przeciw Austryi podczas np. zatargu Austryi z Rosyą. Jednak wątpić należy, by do wojny doszło. Przewaga armii

austryackiej (sekundowanej przez niezwykłe korzyści terenu) nad włoską tak jest znaczna, że Włochy, zaangażowane boleśnie w Trypolisie, musiałyby ustąpić. Zaniechałyby one dalszych kroków wojennych przeciwko Turcyi, a ten jeden fakt przyniósłby im takie straty moralne i materyalne, że cel p. v. H. byłby prawdopodobnie w znacznym stopniu osiągnięty. Gdyby zaś ostatecznym wynikiem tego wszystkiego miał być sojusz Austryi z Turcyą, która nie omieszkałaby wtenczas porachować się z Rosyą, przedewszystkiem zaś nie puściłaby jej do Persyi, — to moglibyśmy być z takiego rozwoju wypadków nawet bardzo zadowoleni.

Ale... podobna ewentualność zupełnie pewną nie jest. Ekspansya Austryi może odbywać się tylko w dwóch kierunkach: północnym, lub południowym, dlatego też, gdyby siły monarchii miały być zaangażowane na południu, to zupełnie możliwem byłoby ze strony dyplomacyi austryackiej zaasekurowanie się od północy, w formie jakiegoś porozumienia z naszymi „najserdeczniejszymi“ z nad Newy. I nawet kto wie, czy nie kroiło się na coś podobnego, jeżeli zważyć na świeże wycofanie z Galicyi czterech pułków jazdy i batalionu strzelców. Wiemy zaś dobrze, do czego prowadzi „porozumienie“ Austryi z Rosyą!

Dlatego też zdaje się, że nie mamy powodu smucić się zbytnio z udaremnienia wojowniczych planów p. v. H., że zaś i w tym wypadku, jak w innych, wytyczną ludu polskiego w kraju naszym powinno być: wszystko dla wojny z Rosyą, nic dla wojny przeciwko komu innemu!

MICHAŁ PANKIEWICZ.

LISTY Z PARANY.

Emigracya obecna z Królestwa Polskiego. Nowe kolonie rządowe i kolejowe. Wybory do sejmu stanowego. „Związek Narodowy Polski w Brazylii“ i werbiści. Nowe zakony. „Zaranie“ w Paranie.

I.

Warszawskie Tow. Opieki nad wychodźcami w jednym ze swych humorystycznych komunikatów o Paranie uderza w dzwon trwogi, głosząc o nowej „gorączce brazylijskiej“, która jakoby ogarnęła przedewszystkiem zamożniejszych gospodarzy. Ci, przeżywając powtórnie epokę „złotych snów“, sprzedają ziemię, rujnują się i wynoszą do Parany. Czy tak jest w rzeczywistości?

Według danych urzędowych („Estado de S. Paulo“ z dnia 8 sierpnia 1911), za okres czasu od 1 stycznia 1908 r. do 31 lipca 1911 przybyło do Parany 3.290 rodzin, złożonych z 18.380 osób, w tem 9.664 „Austryaków“, 5.140 „Russos“, 1.856 Niemców, 521 Holendrów i reszta, należąca do innych narodowości.

Statystyka notuje zwykle przynależność państwową. Lecz na podstawie tych danych z zupełną ścisłością da się określić liczba Polaków. Z Austryi emigruje do Parany wyłącznie ludność wschodnio-galicyjska, przeważnie ruska. Emigrowała ona głównie w latach 1908 i 1909. Ona też zajęła prawie wszystkie kolonie (Ivahy, Jesuino-Marcondes, Tayó, Itapara, Iraty, Vera-Guarany), założone w tym czasie. Odsetek Polaków wśród osadników galicyjskich w najlepszym razie nie przekracza 25 proc. Natomiast t. z. Russos możemy bez wahania uważać wszystkich za Polaków, albowiem Rosyan w Paranie niema zupełnie, a Niemcy z Wołynia zawsze podawali się za Niemców.

Emigracya z Królestwa, w przeciwieństwie do emigracyi z Galicyi, wzrasta. Według wykazów kurytybskich pism polskich przybyło do Parany w r. 1911 od 2.500 do 3.000 Królewiaków. Pierwsze cztery miesiące do kwietnia włącznie dały bardzo mało. Jak zwykle, wśród przyjezdnych Rusini przeważali. Poczynając jednak od maja, emigracya ruska prawie znika zupełnie, a na widownię występuje polska, wyłącznie z Królestwa. Cyfrowo przedstawia się tak: maj — 1.192 osoby (trzecia część Rusinów), czerwiec — koło 1.400 (Rusinów niewiele), lipiec — koło 600 (sami Polacy). Później w jednym z tutejszych pism polskich ukazała się notatka, powiększająca ostatnią liczbę do 1.400. Przypuszczam jednak, iż pierwsza liczba jest prawdziwsza, gdyż, przebywając w Kurytybie przez cały miesiąc lipiec, nie słyszałem o żadnej większej partyi emigrantów. Sierpień dał około 100 osób, wrzesień koło 70. Liczba Królewiaków, przybyłych do Parany w r. 1910, wynosi 475 osób (sprawozdanie inspektoratu kolonizacyi w Paranie za r. 1910). Na rok 1908 i 1909 należy odliczyć koło 2 tysięcy — „Gazeta Świąteczna“ i wtedy narzekała na masową emigracyę do Brazylii, — czyli znowu na rok obecny wypada najwyżej 3 tysiące, albowiem, jak wspomniałem, za cały okres kolonizacyi przyjechało do Parany 5.249 Królewiaków plus 100 w miesiącu sierpniu i 70 we wrześniu.

Do Północnej Ameryki z całej Polski wyjeżdża rocznie koło 100 tysięcy. Na Syberyę zaś z jednego Zagłębia Dąbrowskiego w r. 1910 wyjechało 5.092 osoby, a w pierwszej połowie roku bieżącego zapisało się do wyjazdu 460 rodzin. Według opinii gubernatora piotrkowskiego wychodźtwo wywołane zostało panującą wśród robotników Zagłębia nędzą, drożyzną mieszkań i brakiem pracy.

Kampania „Gazety Świątecznej“, „Słowa“ i innych t. p. pism przeciwko Paranie, z zupełnem pominięciem Syberyi, jak również humorystyczne komunikaty T-wa Opieki, dają się bardzo łatwo objaśnić faktem, że do Parany emigruje przeważnie służba folwarczna, co się odbija na kieszeni obszarników, a na Syberyę wyjeżdża robotnik fabryczny.

A przecież wszyscy emigracyę na Syberyę uważają za klęskę narodową.

Szczególnie intensywną była emigracya do Parany z dóbr kniazia Czetwertyńskiego w Siedleckiem. Niektóre jego folwarki zostały kompletnie bez parobków, gajowych, stangretów i t. d. Prawie każdy trzeci, lub czwarty emigrant na zapyta-

nie odpowiada, że służył u kniazia Czetwertyńskiego. Wielu zaś i pytać nie trzeba, gdyż przyjechali w liberyi wspomnianego kniazia. Wogóle wszyscy, stykający się z obecną falą emigracyi polskiej, wynoszą jedno wrażenie, iż jest ona bardzo biedna, znacznie biedniejsza od ruskiej, pomimo, iż nędza w Galicyi, zwłaszcza wschodniej, jest przysłowiowa.

A zatem bajką jest emigracya zamożnego włościaństwa do Parany, jak również bajką jest twierdzenie komunikatu Tow. Opieki, że spóźniwszym się na jakiś mityczny okręt nie dadzą ziemi w Paranie. Mogę zapewnić Szanowne Tow. Opieki, iż dział z 35 morgów otrzyma nawet wielki „przyjaciel" Parany, p. Ludwik Górski, wiceprezes T-wa, i kniaź Czetwertyński, chociażby między swoimi parobkami. Ziemi na koloniach nie zabraknie.

Największa z założonych w tym roku kolonia Cruz-Machado zajmuje powierzchnię 750 kilometrów kwadr. i będzie zawierała 3 tysiące osad, rozdanych jednak będzie 2.500, gdyż na 500 najgorszych zarząd kolonizacyi wcale nie będzie osadzał kolonistów. Cruz-Machado jest położone o 40 kilometrów od stacyi kolejowej Marechal-Mallet i ciągnie się aż do Iguassu, największej rzeki w Paranie. Linia kolejowa do granicy paragwajskiej przejdzie w bardzo blizkiej odległości od kolonii. Cruz-Machado jest pierwszą kolonią nad dolnym Iguassu i otwiera niejako wstęp do najżyźniejszej, najbogatszej i mało jeszcze znanej części Parany. Klimat zdrowy, na początku kolonii chłodny (wysokość 1.100 metrów ponad poziom morza), przy rzece Iguassu ciepły (wysokość 700 metrów). Nad rzeką koloniści zmuszeni będą zająć się uprawą roślin, więcej odpowiadających ciepłemu klimatowi, niż nasze zboża, np. trzciny cukrowej. Przejście do innego typu gospodarki zostanie ułatwione dzięki polu doświadczalnemu (właściwie będą dwa pola: jedno na początku kolonii, drugie przy rzece), którego kierownikiem został mianowany p. Julian Bagniewski, jednostka dzielna i sympatyczna z wyższem wykształceniem agronomicznem. Gleba według opinii p. Bagniewskiego jest naogół dobra i im dalej, tem lepsza. Zaraz na początku kolonii spotykają się piniory (rodzaj naszej sosny) 6-ciu metrów obwodu. W Paranie grubość drzew świadczy do pewnego stopnia o urodzajności gleby. Przeważna część emigracyi wiosennej poszła na Cruz-Machado, gdzie już od dłuższego czasu odmierzaniem ziemi zajmują się trzy partye mierników.

Drugą kolonią jest Floresta, tuż koło samej stacyi kolejowej, Iraty, obliczona na 300 rodzin. Doskonała gleba, wygodna komunikacya i łatwe zarobki czynią z niej najlepszą kolonię z powstałych w ostatnim pięcioleciu. Przed paru tygodniami osiedliło się tam 50 rodzin z Królestwa, w obecnej chwili prawdopodobnie więcej.

Trzecią będzie duża kolonia między Ivahy i Thereziną. Obecnie budują tam drogę, a następnie przystąpią do wymierzania osad. Ziemia znakomita. Poważnym ale tej kolonii jest brak kolei żelaznej. Za lat parę brak ten zostanie usunięty, gdyż już przystąpiono do wstępnych robót dla przeprowadzenia z Ponta-Grossy do Sete-Quedas na rzece Paranie kolei, która przetnie kolonizowaną miejscowość.

Wogóle rząd bierze się do kolonizowania zachodniej części kraju, znacznie żyźniejszej od wschodniej, już zaludnionej.

Czwartą kolonią jest Castelhane w górach Serra-do-Mar, oddzielających płaskowzgórze Parańskie od nizinnego, niezdrowego pasa. Castelhane jest położona na wschód od Kurytyby i w pobliżu portu Guaratuby. Kolonia istnieje od lat kilku. Osadzano tam nawet pewną ilość kolonistów, lecz wszyscy uciekli, gdyż koniecznie chcieli uprawiać żyto i inne zboża, kiedy w Castelhane wspaniale rodzi trzcina cukrowa, banany i t. d. Być może, iż koloniści nie umieli zabrać się do uprawy tych roślin, z założeniem jednak pola doświadczalnego — inspektorat kolonizacyi jest tak zadowolony z wyników pracy p. Bagniewskiego na Vera-Guarany, że postanowił zakładać pola doświadczalne na wszystkich nowych koloniach — sytuacya się zmieni.

Następnie istniała na starych koloniach (Ivahy, Tayó, Vera Guarany i Iraty) pewna ilość osad wolnych, które zostały zajęte przez teraźniejszą emigracyę.

Na niektórych z nich będą zakładali nowe osady, np. na Vera-Guarany, odległej o 6 kilometrów od kolei, mają założyć koło 100.

Ostatnie gazety przyniosły wiadomość o zakupieniu pod kolonizacyę dużej posiadłości w Castro, które ma kolej żelazną i wygodny zbyt produktów do S. Paulo.

Kolonizacyę kolejową przynajmniej na razie musimy pominąć, ponieważ warunki, podane przez szefa kolonizacyi, p. Cole'a — zajął on miejsce p. Paszkiewicza — są niemożliwe do przyjęcia. Cena działu ziemi wielkości 8 alkrów (1 alkier = 4 i pół morga) została określona na 800 milrejsów, za Paszkiewicza zaś cena działu 10-alkrowego wynosiła 250. Przytem kompania kolejowa nie chce brać na siebie żadnych zobowiązań i żąda 200 milrejsów z góry. Wszyscy są przekonani, że prędzej, czy później kolej zmieni warunki; w przeciwnym razie nie dostanie kolonistów, albowiem w wielu jeszcze miejscach można kupić alkier wcale dobrej ziemi za 50 milrejsów (1 milrejs = 60 kop. i parę). Osad gotowych na kolonii kolejowej Rio-das-Antas jest sto kilkanaście, lecz w bardzo prędkim czasie może być ich tysiąc i więcej.

(Dok. nast.).



PETERSBURSZCZANIN.

Rosyjska opinia publiczna wobec polskich dążności niepodległościowych.

Większa część ziemi polskiej i większa część narodu polskiego została przykuta do caratu rosyjskiego. Rząd rosyjski i jego organa gospodarują krwawo na olbrzymiej połaci kraju naszego, a całe jego życie ulega wykoszlawieniu wskutek wtłaczania go w obce mu formy polityczne, społeczne i kulturalne.

Do r. 1905-go mieliśmy do czynienia tylko z biurokracyą carską, bo ogół społeczeństwa rosyjskiego był odsunięty od bezpośredniego wpływu na bieg wypadków życia państwowego i na jego rozwój. Te, lub inne zapatrywania intelligencyi rosyjskiej posiadały przeto dla nas znaczenie tylko teoretyczne. Dziś jest inaczej. Znaczna część społeczeństwa rosyjskiego została powołana do udziału w gospodarce państwowej, to też Polacy muszą się liczyć praktycznie nie tylko ze stanowiskiem biurokracyi carskiej, po dawnemu gospodarującej u nas w kraju, ale i z opinią różnych warstw społeczeństwa rosyjskiego.

Z przedstawicielami tego ostatniego Polacy stykają się i w Dumie carsko-czarnosecinnej, nie pozbawionej żywiołów, które się na sprawy nasze zapatrują z różnych stanowisk. Wobec tego ewolucya stosunku do Polski i naszych dążności politycznych ze strony intelligencyi rosyjskiej nabiera dla nas pierwszorzędnego znaczenia. Od tego bowiem stosunku w znacznej mierze zależy stanowisko polityki polskiej względem partyi rosyjskich, od tego zależą rozmaite kroki praktyczne w dziedzinie naszej polityki narodowej.

Tymczasem stosunek intelligencyi rosyjskiej i jej poszczególnych odłamów do sprawy polskiej jest u nas bardzo mało znany, pomimo olbrzymiej ilości materyałów, istniejących w literaturze, a dotyczących tego zagadnienia. Nie kusząc się oczywiście o wyczerpanie przedmiotu, chciałbym w mym artykule poruszyć pewien moment tego stosunku, mianowicie traktowanie polskich dążności niepodległościowych przez dwa główne odłamy rosyjskiej opinii publicznej — przez reakcyonistów-nacyonalistów z jednej strony, a liberałów i radykałów z drugiej.

Rosyjscy reakcyoniści i nacyonaliści zawsze stali i stoją (niekiedy obłudnie) na tem stanowisku, że o pogodzeniu się Polaków z Rosyą, o pogodzeniu się szczerem, ostatecznem nie może być mowy. Każdy Polak marzy o niepodległości, o oderwaniu się od Rosyi, o „Rzeczypospolitej od morza do morza", a więc jest wrogiem państwa rosyjskiego, wrogiem nieprzejednanym. Wśród reakcyonistów i nacyonalistów rosyjskich nierzadko można się spotkać ze zdaniem, że udział Rosyi w rozbiorach Polski był dla pierwszej prawdziwem nieszczęściem, ponieważ wprowadzał pod dach wspólnej państwowości wroga nieprzejednanego, zawsze gotowego szkodzić Rosyi. Stąd bardzo rozpowszechniony w tych sferach wniosek, że wyzbycie się Polski dla Rosyi byłoby wprost pożądane. Wyrazem tej opinii jest zdanie najwybitniejszego publicysty reakcyi rosyjskiej, osławionego Mieńszykowa, że „Polskę" należy jaknajprędzej odepchnąć od Rosyi. Pod „Polską" rozumie się tu oczywiście ta część Królestwa Polskiego, w której najprzenikliwsze oko urzędowych etnografów rosyjskich nie może dojrzeć zwartej ludności „rosyjskiej". Chełmszczyzna, Litwa i reszta ziem dawnej Rzeczypospolitej — to oczywiście „odwiecznie rosyjskie" terytorye, z prawa należące się Rosyi. Chęć pozbycia się Królestwa Polskiego (po dokonaniu na niem pewnych amputacyi), jako ogniska buntu i „łacinizmu", płodzi takie pomysły, jak projekt sprzedania go Niemcom, jak plan wymiany na „odwiecznie rosyjską" Galicyę Wschodnią i t. p.

Reakcyoniści i nacyonaliści rosyjscy szczerze i głęboko nienawidzą Polaków, nienawiść ta jest jednak połączona u nich z pewnym naiwnie barbarzyńskim szacunkiem dla przedstawicieli wyższej kultury. Nienawiść do Polaków nie łączy się u Rosyanina-patryoty z tą pogardą, jaką czuje on względem innych „inorodców" — np. Żydów, Ormian, Ukraińców. Nawet tam, gdzie czarnoseciniec rosyjski spotyka się z Polakiem, jako z bezpośrednim konkurentem, czy to na posadzie urzędowej, czy w handlu, przemyśle i t. d., nawet tam „proklatyj Poljaczisżka" budzi w nim — obok nienawiści — poszanowanie, wypływające z poczucia niższosci kulturalnej.

W sferach t. zw. „liberalnych" ten szacunek dla przedstawicieli kultury zachodniej dawniej łączył się stale z przeświadczeniem o wspólnosci interesów gnębionych przez rząd Polaków i pozbawionej wszelkich praw obywatelskich intelligencyi rosyjskiej. Poczucie własnej krzywdy dyktowało współczucie dla wszystkich innych, przez ten sam rząd krzywdzonych. I Polacy, jako naród prześladowany, cieszyli się sympatyą sfer liberalno-radykalnych.

Ponieważ zaś te sfery w Rosyi dawniej odznaczały się kosmopolityzmem, oraz brakiem zrozumienia i nawet elementarnej znajomości kwestyi narodowościowych, przeto sprawy „odwiecznie rosyjskich kresów" mało kogo interesowały poza szczupłą garścią zawodowych historyków i etnografów. W kwestyi oderwania się Królestwa od Rosyi sfery liberalno-radykalne stały na stanowisku daleko idących ustępstw. Jeśli Polacy są takimi dziwakami, że pragną własnego państwa, własnego militaryzmu, własnej biurokracyi i policyi, no, to niech je mają, choć przecież dla wspólnego dobra byłoby lepiej, aby pozostali w Rosyi i przyczyniali się do jej przekształcenia w duchu europejskim — na państwo konstytucyjne, któreby i im zapewniło zupełną swobodę rozwoju — takie zdanie przeważało wśród Rosyan liberalnych.

Niemal aż do wojny japońskiej intelligent rosyjski, bez różnicy kierunków i zapatrywań politycznych, traktował Polskę, jako coś obcego, co nic wspólnego z Rosyą niema i współżyje z nią tylko skutkiem dokonanego w końcu XVIII-go stulecia gwałtu. Reakcyoniści rosyjscy uważali to współżycie za szkodliwe dla Rosyi, liberali za korzystne (ze względu na wpływ kultury europejskiej, płynącej z Polski i na wzmożenie żywiołów opozycyjnych, dzięki Polakom). Ale i jedni i drudzy byli zdania, iż dobrze zrozumiany interes Polaków nakazuje im dążyć do oddzielenia się od Rosyi. Tylko, że reakcyoniści, godząc się w zasadzie na od-

stąpienie Królestwa Polskiego Prusakom, czy Austryi, uważali dążności niepodległościowe polskie za niezmiernie szkodliwe dla Rosyi, jako mogące zagrozić jej „odwiecznie rosyjskim kresom“ i dlatego, dowodząc, że Polacy nigdy się nie wyrzekną marzeń o własnem państwie „od morza do morza“, wykazywali konieczność gnębienia ich bezlitośnego. Natomiast liberali byli zdania, że zapobiedz polskim dążnościom niepodległościowym, zupełnie prawowitym i logicznym można tylko przez zapewnienie Polakom tych samych praw konstytucyjnych, jakich pragnie dla siebie Rosya liberalna.

Ten pogląd, dotyczący realizacyi dążności niepodległościowych, jako czegoś, w najwyższym stopniu pożądanego dla Polaków, w końcu wieku XIX-go i na początku XX-go zaczyna powoli ustępować nowemu poglądowi. Marksizm (w swej formie specyalnie rosyjskiej), stał się na czas pewien najpopularniejszą teoryą w sferach nie tylko socyalistycznych, ale i liberalnych Rosyi. Ten to „marksizm“ spopularyzował wśród liberałów i radykałów rosyjskich pogląd o niezbędności dla przemysłu Królestwa Polskiego rosyjskich rynków wschodnich. Teorya „organicznego wcielenia“ (dzięki tym rynkom) Królestwa Polskiego do Rosyi, wyprodukowana przez ideologów wielkiego przemysłu łódzkiego, ogromnie przypadła do smaku liberałom rosyjskim. Albowiem na mocy tej teoryi łączność Polski z Rosyą stawała się interesem ekonomicznym i to interesem najżywotniejszym, bo stanowiącym o całym rozwoju kraju Polaków samych. Intelligent rosyjski przeto, dając wyraz swej niechęci dla oderwania się Królestwa od Rosyi, mógł teraz z zupełnie czystem sumieniem uzasadniać swe stanowisko interesem Polaków. Dla rodzącego się dopiero l i b e r a l n e g o nacyonalizmu rosyjskiego teorya ta była prawdziwą gratką, to też upowszechniła się i zakorzeniła ona niezmiernie szybko i głęboko.

Taką samą gratką dla c a ł e g o nacyonalizmu rosyjskiego stała się szerząca się u nas germanofobia. Teorya (usilnie pielęgnowana przez naszych polityków narodowo-demokratycznych), że największym wrogiem Polski są Prusy, nie zaś Rosya, również szybko została przyswojona w kołach rosyjskich. Polacy muszą się trzymać Rosyi, bo inaczej Niemcy ich zjedzą — przekonanie to stało się wyrazem wiary politycznej nacyonalizmu rosyjskiego. Mało tego, z przekonania, tak sformułowanego, Rosyanie wysnuli bardzo logiczny wniosek: skoro Niemcy są najgorszymi wrogami Polaków, przeto Rosya, panując nad częścią Polski, broni ją od Niemiec, germanizacyi i zaguby, przeto więc Polacy powinni być wdzięczni Rosyi za to i pokornie znosić te drobne przykrości, jakich od niej doznają.

Z chwilą przyznania się Polaków do tego, że Niemcy są ich najgorszym wrogiem i że niebezpieczeństwo niemieckie dla nich jest największe, sprawa polskich dążności niepodległościowych w opinii rosyjskiej została przegraną. Charakterystyczne, że, kiedy dawniej wyzbycie się Królestwa przez Rosyę było traktowane przez nacyonalistów rosyjskich, jako konieczność w interesach Rosyi, teraz wysuwa się ono coraz częściej, jako p o g r ó ż k a pod adresem Polaków. Aha, jesteście niepoprawni, buntujecie się przeciwko Rosyi, no, to nic innego nie pozostaje, jak oddać was Prusakom; wówczas dopiero zobaczycie, co to prawdziwy ucisk znaczy! — oto ton, panujący w odezwaniach się nacyonalistów rosyjskich w sprawie polskiej. Nacyonaliści rosyjscy we własnych oczach wyrastają wprost na jakichś dobroczyńców narodu polskiego, wbrew własnym interesom broniących nieszczęsnej Polski przed zachłannością niemiecką.

Bezpośrednie zetknięcie się rosyjskich żywiołów społecznych z przedstawicielami polskich kół politycznych w 1904—1905 przekonało Rosyan, że Polacy wcale nie są takimi niepodległościowcami, za jakich ich w Rosyi uważano. Wrażenie to wywołało pewne zdumienie, czem się tłomaczy ta skwapliwość, z jaką rosyjskie sfery liberalno-radykalne zgadzały się na program autonomii Królestwa Polskiego. Program ten stał się w r. 1905 (na krótko, zresztą), bardzo popularnym, ponieważ uspokajał obawy liberałów i radykałów rosyjskich, którzy spodziewali się, że Polacy zażądają niepodległości, lub bodaj unii personalnej, albo jakiejś innej, daleko idącej formy samodzielności politycznej.

Z biegiem czasu autonomia Królestwa Polskiego stała się w kołach liberalno-radykalnych martwem hasłem odświętnem, u nacyonalistów zaś zajęła to samo miejsce, jakie uprzednio zajmowała dążność do niepodległości. Jak przed rokiem 1905 prasa gadzinowa szczuła przeciwko Polakom za ich dążenie do odbudowania Rzeczypospolitej „od morza do morza“ tak teraz za największą ich zbrodnię uznano żądanie autonomii Królestwa Polskiego. Nienawiść do Polaków bynajmniej nie zmniejszyła się u nacyonalistów rysyjskich po manifestacyjnem wejściu „Koła Polskiego“ w Dumie na grunt państwowości rosyjskiej i po aktach lojalnosci monarchicznej ze strony posłów polskich. Natomiast bliższe przyjrzenie się pp. Dmowskim, Żukowskim, Grabskim i t. p. luminarzom skrajnego oportunizmu polskiego nad Newą zupełnie zniszczyło dawną opinię o Polakach, jako o „wiecznych buntownikach“ w kołach liberalnych.

Wejscie Polaków do Dumy, (co dla wielu Rosyan było niespodzianką), zostało zrozumiane przez ogół rosyjski, jako ostateczna rezygnacya Polaków z dążeń niepodległościowych. I dziś żywioły liberalno-radykalne w polskie dążenia niepodległościowe nie wierzą. Teorya rynków wschodnich, niebezpieczeństwo pruskie dla Polaków, przedewszystkiem ugodowość „Koła Polskiego“ pozbawiły ich wszelkich pod tym względem wątpliwosci. I nacyonaliści reakcyjni, którym przedstawienie Prus, jako największego wroga Polski, oraz „neoslawizmu“ p. Dmowskiego („bez zastrzeżeń“), wystarczyło zupełnie, aby przestać traktować poważnie separatystyczne tendencye Polski, nie bardzo wierzą w bezpośrednie niebezpieczeństwo polskich dążności niepodległościowych. Ale nienawiść do Polaków, jako do „inorodców“ i katolików, każe im nieustawać w szczuciu przeciwko żywiołowi polskiemu, w oskarżaniu go o separatyzm. Tego też wymaga interes setek tysięcy rodzin biurokracyi, wychodzących z łona obozu nacyonalistycznego, a żyjących z gnębienia kresów.

To przekonanie ogółu intelligencyi rosyjskiej, że dążnosci niepodległościowe w Polsce nie istnieją, (jak sądzi obóz liberalno-radykalny), lub, że nie należy ich traktować seryo, choć trzeba używać, jako straszaka w celach agitacyjnych, (jak wierzą

nacyonaliści), jest jednym z najtragiczniejszych minusów polskiej polityki w zaborze z doby ostatniego dziesięciolecia. I żywioły antyugodowe, których liczba rosnie obecnie pod wpływem potęgujących się prześladowań polskości, będą miały dużo pracy z wybijaniem z doktrynerskich głów polityków rosyjskich przekonania, tak fatalnego dla obrony naszych interesów narodowych pod caratem.

GRABOWIEC.

POKÓJ CZY WOJNA.

Wiedeń 6. grudnia.

„Byłem dumny świadomością, iż stałem na czele sztabu generalnego, oddany wspólnej, celowej pracy na rzecz bitności, potęgi i powagi przesławnej armii, z którą wszyscy od dzieciństwa wszystkiemi włóknami serca związani jesteśmy i do której w końcu zawsze trzeba apelować, gdy wszystko inne zawiedzie..."

Baron Conrad von Hötzendorf uznał za potrzebne temi słowy publicznie się pożegnać ze sztabem generalnym, w dniu, kiedy składał funkcye szefa tego sztabu.

Nieprzejednana złość i pogróżka przemawia z odezwy.

Baron Conrad, następca hrabiego Becka, na stanowisku szefa sztabu, przez pięć lat spełniał misyę renesansu wojskow go w Austro-Węgrzech. Wiemy, że rzemiosło renesansu uprawia się w Austryi bez ustanku. I wtedy, gdy Frydryk pruski zabierał Śląsk, kiedy Napoleon zaprawiał wojska austryackie do ewolucyi wstecz, kiedy Węgry się buntowały, z Lombardyi trzeba było zmykać i z pod Königrätzu. Dokumenty czasów owych świadczą o nieustających debatach najwyższych sfer wojskowych: „rady wojennej", o nieodpartej potrzebie odrodzenia wojenności austryackiej.

„Radzić" o potrzebie reform jest przeto objawem nagminnym, ale nieszkodliwym.

Ale ustąpienie Conrada nastąpiło w okolicznościach tak szczególnych, że wywołało nie tylko w obrębie sfer wojskowych, ale także na szerokiej arenie politycznej monarchii i Europy żywe podniecenie i komentarze.

Baron Conrad ustąpił ze stanowiska zajmowanego, mimo, że był powiernikiem i prawą ręką następcy tronu.

Stwierdzenie faktu powyższego rzuca na stosunki, istniejące w sferach dworskich, łunę światła.

Następca tronu, który wielokrotnie już decydująco wpływał na tok spraw politycznych państwa, z urzędu ma jedną tylko funkcyę sobie przydzieloną. Jest on poddany bezpośredniej dyspozycyi naczelnego „władcy wojny" (des obersten Kriegsherrn), jak opisowo zowie się w Austryi cesarz w charakterze naczelnego wodza. Funkcye sobie przydzielone umiał wyzyskać następca tronu we formie niepodzielnej niejako władzy nad całą siłą zbrojną. Młodość i temperament arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, ograniczonego do czuwania nad problemami wojskowości, a pozbawionego bezpośredniej decyzyi w przedmiocie ogólnych problemów politycznych, spowodowały już dawniej szereg rozdźwięków. Następca tronu żąda takiego wzmocnienia sił zbrojnych, któreby odpowiadało populacyi, a sprzeciwiało się zasobom finansowym państwa. Kto ślepo nie akceptuje postulatów wojskowości, staje się osobistym przeciwnikiem arcyksięcia. Poczuł to i odpokutował były minister wojny, Schönaich.

Cesarz austryacki, w ciągu 63-letniego panowania, zdobył natomiast jeden przymiot: cierpliwość, opartą na doświadczeniu. Wie, że fantazya nie wiele pomoże prozie bytu. Pojmuje, że ubóstwo społeczeństwa i państwa w zbyt wielkim pozostaje dysonansie z aspiracyami mocarstwowemi. Z próżnego nie naleje. Gdy mu czynniki powołane wykazały, że ani Austrya, ani Węgry nie mogą znieść ciężarów wymyślonych przez sztab generalny, zrozumiał potrzebę umiarkowania. Uznał za słuszne poglądy, wypowiedziane ze strony dostępnej refleksyom natury ogólnej.

Dymisya barona Conrada była niezawodnie aktem protestu wobec decyzyi cesarskiej. Nie ulega wątpliwości, że powiernik następcy tronu krach ten uczynił w porozumieniu, z rozkazu swego przełożonego i mecenasa. Chodziło o to, aby wszystkim żywiołom, grupującym się w interesie karyery przyszłej około osoby przyszłego władcy, dać niejako symbol ofiarności i męczeństwa, na jakie narażeni są w Austryi zwolennicy — renesansu wojskowego.

A więc rewolta?

Gdyby wolno było w sprawach podobnych przemawiać językiem wiecowym, możeby to właśnie pojęcie najlepiej odpowiadało położeniu rzeczy. Ponieważ jednak chodzi o temat nader subtelny, poprzestać można na stwierdzeniu silnej emulacyi, istniejącej między starym a przyszłym porządkiem rzeczy. Emulacya ta odbija się już dziś echem bardzo szerokiem i wiedzie za sobą pogłoski, plotki i kombinacye.

Ni mniej, ni więcej. Zmiana systemu sojuszów i porozumień, panujących dziś na kontynencie. Sojusz trójcesarski: Niemcy, Austro-Węgry, Rosya, oto zarys przyszłości, ku której zdążać mają intencye następcy tronu.

Rzecz na marginesie tylko szyfrowana, dopowiadana, podpowiadana.

Spólnicy rozbioru Polski sprzęgnięci ze sobą trwałym sojuszem.

Alarmy wszelkie byłyby przedwczesne. Ale nigdy nie jest zawczesną czujność.

Czterdziestoletni pokój w Europie nagromadził ogrom prochu i łuczywa. Zaostrzone interesy piętrzą się zewsząd i zachodzi tylko pytanie, jak długo sztuka dyplomatyczna potrafi łatać i łagodzić.

I dlatego ustępujący szef sztabu generalnego śmiał w swym rozkazie pożegnalnym wspomnieć o armii, jako tym czynniku, do którego trzeba apelować, gdy wszystko inne zawiedzie.

Z POEZYI CZESKIEJ.

JAROSŁAW VRCHLICKI: (Z „PANA TWARDOWSKIEGO“).

ŁZA.

Czemuś smutny? Wyborowe
Miałeś wina — na mą duszę!
A to dziewczę — zeszłej nocy
Jeszcze panną było — tuszę.

Duchy wszystkich państw przyrody
Były wczoraj gośćmi twymi;
Niebo cię gwiazdami darzy,
A toń morska skarby swymi.

Przecz tęsknota twa się wzmaga,
Rośnie wciąż, nieukojona;
Nie nasyca jej stos złota,
Wina dzban, ni piękna żona?

Niech sam Bóg ci służyć idzie:
Wyczerpałem sztuczki swoje!
Za twą duszę, wybrednisię,
To, naprawdę, zbytnie znoje.

Co chcesz zasię? Jużbym wolał
Rozpieszczone bawić dziecię!...
A Twardowski, wznosząc głowę:
„Co chcę? Lecieć chcę po świecie!...“

„Lecieć w świat — to pomysł świetny,
Niech się rychło w czyn wyłoni...
Widzisz punkt na firmamencie:
To nasz płaszcz wiatr ku nam goni“.

„Leć że ku mnie! O pędź ku mnie,
Wznieś się płaszczu wprost do góry!
Stoję na nim. Chwyć się poły,
A pomkniemy wnet w lazury“.

Twardowski na płaszcz wskakuje —
Szatan porwał go za pasy,
I już pędzą w mroku cichym,
Z mgłą i wiatrem mkną w zapasy.

Lecą, jako płatek śniegu,
Lecą, jako piórko pierza;
Płaszcz ich ciemny tylko miga,
Jakby skrzydło nietoperza.

Lecą we mgle, lecą wyżej;
Ponad wsie, doliny, niwy;
Aż nad nimi się rozwidnił
Gwiazd rój cudny, migotliwy.

„Cóż po gwiazdach — rzekł Twardowski,
Niżej leć; chcę ludzi widzieć!“
„Chcesz-li? Lecz naprawdę nie wiem,
Czy nie będziesz się pan wstydzić“...

„Bo to noc!“ I bies swe usta
Skrzywił w uśmiech pogardliwy.
„Niżej!“ huknął nań Twardowski —
Już nad miastem wprost lecimy!“

Nagle łódź ich spływa niżej;
W mgłę wiosenną już zapadła;
A Twardowski życie miasta
Widzi, jak na dnie zwierciadła.

Widzi tam płynące złoto,
Co się w ręku gracza świeci,
A gdzieindziej — w chłodnej izbie
Mrące z głodu, blade dzieci.

Widzi hańbę na kobiercach,
Jak się wali cała naga;
Widzi dziewczę, łzami zlane,
Co się odpiąć stanik wzdraga.

Lecz oto powietrzny statek
Zawisł i we mgle się pławi.
„Czy Wielmożny Pan nie westchnął?
Spytać śmiem, co go tak bawi?“

„Dałej, bisie, rychło dalej! —
Wrzaśnie nań Twardowski wściekle.
— Co tu widzę, by wstrząsnęło
Mną w najgłębszem, siódmem piekle!“

„Spojrzyj jeno! Tam chałupka,
A z niej cichy szmer się szerzy...
Klęczą dziatki; z nimi klęcząc,
Matka uczy ich pacierzy“.

„Patrz na ich uśmiechy błogie;
Słysz, jak gwarzy dziatwa mała...
Matko! I tyś na dobranoc
Niegdyś krzyżem mnie żegnała!“

„Dalej dyable!„ — „Nie możemy,
Zaciężyło nam coś srodze...
Czem się dzieje, że płaszcz spada
Ku tej chacie, co przy drodze?“

„Dalej, dyable, rychło dalej!
Serce mi się krwawi, pęka“.
— Coś nam wadzi — płaszcz opada...
Ach już trzyma złe ma ręka“.

„Takie głupstwo! A wszak mogło
Doprowadzić nas do zguby...
Pan płakałeś, a łza jedna
Spadła na płaszcza przeguby“.

„Takie łzy, to mają wagę;
Wlokła szybko nas ku ziemi. —
Strząsam ją — jak gwiazda leci..“
I pomknęli dalej niemi.

Przełożył Bezimienny.

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

Leżało to na krzesłach, na stole. A jeden to powiesiła na suficie i jeszcze kapelusz nad tem przyczepiła na haku. Jakem weszła, to ażem się przeżegnała. W imię Ojca i Syna myślę, czy się tam kto powiesił, czy co? A ona siedzi na kanapie, wpatruje się w te z przeproszeniem spodnie i płacze. Bo to sufit był nizko i spodnie wisiały już prawie nad samem biurkiem. Tak, moja pani, to była miłość! I właśnie dlatego tak mi przykro, że mi Genia zrobiła taki zawód. Cztery lata zaledwie czekała na drugiego —, moja pani! — tylko cztery lata!

— A ileż miała czekać? Sto lat? — warknął nagle Julek ustami pełnemi placka z serem. I wpił wściekłe oczy w grubą jejmość, która spojrzała nań z miną obrażonej królowej.

Niestety, towarzystwo nie potrafiło wstrzymać już dłużej śmiechu. Antek wydał głuchy jęk, czy warczenie, i nurknął pod stół. Tam rozdziawił szeroko ogromną paszczę i tłukł się kułakiem w kolano, dławiąc się i jakby gdakając. Inni pochylili głowy, twarze im poczerwieniały i tłumiony śmiech zapowiadał Julkowi niespodziewany tryumf. Tylko stryj śmiał się bez ceremonii, aż szyby drżały — no i wnet wesołość doszła przy stole do cynicznej otwartości.

Małe oczki jejmości zaświeciły złośliwie, na workowate policzki wystąpiły blade rumieńce, jak na niedopieczonym kotlecie.

— Słyszałam — rzekła słodziutko syczącym głosem — że dzisiejsza młodzież lekceważy rodzinę, religię, tradycyę i propaguje nawet w o l n ą m i ł o ś ć, (tu spojrzała w stronę Mary, ale tak, żeby ta tego nie dostrzegła), ale nie spodziewałam się, żeby pan Julek nie rozumiał małżeńskiego przywiązania. A przecież państwo Leonardowie tak przykładnie żyją, a ja znałam pana Julka, kiedy jeszcze chodził w krótkich spodeńkach. To było nawet nie tak dawno... Hm... hm... sakrament małżeński to święta rzecz, przysięga przed ołtarzem... Aż do grobu — wzdychała ciężko — aż do grobu.

— No, a poza grobem?

— Jejmość, która nazywała się pani Chlewicka, rozłożyła ręce, jakby chciała rzec: „cóż ja na to poradzę“ — i, z teatralnem drżeniem w głosie, mówiła dalej, kiwając głową, jakby się modliła:

— Sakramentu nie wolno łamać... Kiedy ludzie raz przysięgną przed ołtarzem, powinni dochować wiary nawet poza grobem. Nie pozwolą sobie na rozpustę!

— O jej, ciocia tak mówi, jak ksiądz z Psikowa! — zawołała Tecia.

— Teciu, jeszcze jesteś za młoda, żeby to zrozumieć!

— E, proszę cioci, jak się ludzie kochają, to czy tam ksiądz pokropi, czy nie, to wszystko jedno.

— Teciu! Czy i ty zapisałaś się do tych tam socyalistów?

— Ojej, czemu nie!

— Aa! — to winszuję!

I Chlewicka gotowała się do nowego wykładu, ale p. Stanisław i pani Bielska, znając ją, zaczęli mówić o czem innem i gwar głosów przygłuszył perorę dla dzieci, oraz głos Antka, który rzekł nie bardzo cicho:

— Ciocia mówi tak dramatycznie, bo żałuje, że się sama nie puszczała.

Julek, zarażony wesołością towarzystwa, już zaczął wpadać w dobry humor, ale wyraz „rozpusta“ wypowiedziany przez „takie coś“, osadził go na miejscu. Obrzydzenie go zadławiło w gardle i zakręciło mu w głowie, jakby go błotem ulicznem obryzgano. Ta jakaś księża gospodyni, tercyarka, czy jeszcze gorzej, popełniała świętokradztwo, wymawiając ten straszny, tajemniczy wyraz. A że w tem świętokradztwie była beznadziejna śmieszność, to właśnie przygnębiało Julka najbardziej.

— Ludzie wszystko obrzydzą, ośmieszą... — myślał, choć wiedział przecież doskonale, że przysięgi przed ołtarzem to nie miłość. Ale tkwił w tem jakiś ohydny związek, naniesiony przez tłum nędzoty ludzkiej bez uczuć, bez myśli... Niewypowiedzianie wstrętne, obłudne niewolnictwo panoszyło się przez tyle wieków, rozkazując wolnym instynktom człowieka... Zrozumiał nagle wybuchy śmiechu u Wacka, gdy mówiono o rozpuście. A tych, co się nie śmieli, będą nazywali „romantykami“... Słyszano dotychczas tylko takie Chlewickie, słyszano nakazy, śmieszne, idyotyczne, plugawe...

Tymczasem Chlewicka, która dla zgnębienia Mary zwracała się wciąż z aluzyami do Czesławy i jej właśnie opowiedziała o zdradzie Geni względem nieboszczyka Hipcia, nie dała za wygraną i przekonywała ją w dalszym ciągu o zepsuciu współczesnem, z elokwencyą, godną samego hrabiego Tarnowskiego i dzienników konserwatywnych, których treści była idealnym portretem.

— A poco mają przysięgać, jeżeli się kochają? — pytała Czesława, nie mogąc wstrzymać uśmiechu.

— Poco? poco? Aa, po pannie Czesławie nie spodziewałam się takiego pytania!

Czesława roześmiała się.

— Nie można chyba kazać komu kochać. A jeżeli przestanie się kochać, to żadna przysięga nie pomoże.

— Nie powinno się przestawać kochać!

— Skąd ja mogę wiedzieć, czy moja miłość będzie trwała rok, czy miesiąc?

— Ludzie poważni wiedzą o tem zawsze, umieją zachować się odpowiednio.

— To może ludzie poważni wcale nie kochają?

— Lekkomyślnie pani mówi, panno Czesławo, bardzo lekkomyślnie!

— Nie, proszę pani, chciałam tylko powiedzieć, że zupełnie pewnym siebie może być tylko ten, kto nie kocha, komu właściwie wszystko jedno, ta, czy druga — trzeba tylko, żeby miał handlową uczciwość... taki traktuje małżeństwo, jak podpis na wekslu i wymaga od strony przeciwnej tego samego urzędowego żyranta, księdza. Co do mnie, nie wiem, co ze mną będzie jutro, a cóż dopiero do końca życia! Kto ma uczucia, namiętności, ten wie, że co się zaczęło, może się też skończyć.

— Naprawdę, kocha się tylko jedną kobietę! — melancholijnie wmieszał się do rozmowy Julek.

Starał się przytem zrobić minę jak najbardziej ponurą, zesztywniałą w strasznych przejściach.

Czesława spojrzała na niego szybko i badawczo, ale wnet oczy jej zabłysły figlarnie.

— Tak tragicznie pan mówi, aż mnie dreszcz przechodzi!

Cicho zalśniła w jej głosie nieuchwytna słodycz. Z Chlewicką mówiła spokojnie, uprzejmie, jak zawsze niezbyt głośno, ale teraz nagłą zmianę tonu Julek odczuł. Serce zadrżało mu wdzięcznością i stało się naraz rozkosznie lekkie.

— Tak źle znowu nie jest! — rzekł wesoło, dziwiąc się, jak świetnie kłamie.

— Nie wierzę. Musiał się pan już z dziesięć razy kochać!

— O nie! Wcale nie!

— Co, jeszcze wcale?

— No — tak naprawdę — jak się pani zdaje?

— Nie wiem. Nie śmiałabym się wdzierać w tajemnice pana.

— Ja pozwalam. Łaskawie pozwalam. Niech pani powie, proszę pani.

— Pan pewno sam nie wie!

— A to dobre! chociaż wie pani co...

— Ahaha! — śmiała się Czesława — a to się pan złapał!

— Widzieliście państwo? — Kobieta zawsze potrafi wmówić wszystko, co się podoba. Jeżeli pani wie, proszę, niech pani powie.

— Cóż ja mam mówić... kiedy pan już sam powiedział!

— Takie tam powiedzenie! Umyślnie tak manewruję dla zamydlenia oczu.

— Gdyby nie było co ukrywać, toby nie trzeba oczu zamydlać.

— Może być. Ale pewności niema!

— Ja nie jestem tak tajemnicza. Otwarcie mówię, żem się ogromnie kochała.

— O, ogromnie! Widać to z tonu pani. Pewno w jakim profesorze na pensyi.

— Może być. Ale pewności niema.

Julek śmiał się rozradowany, jak nigdy. Czesława też. Nic nie słyszeli, co się koło nich dzieje. „To się pewnie nazywa flirt“ — pomyślał Julek, dumny, że i on nareszcie poflirtował, jak prawdziwy zjadacz serc. „To śliczna zabawa“ — dopowiedział sobie po chwili — i już gotował się do nowej szermierki na słowa, kiedy uderzył go ostry głos Mary, która dysputowała z Wapowiczem.

— Dosyć tych zagranicznych facetów! dosyć! Jeszcze się pan udławi temi dzikiemi nazwiskami! — mówiła krzykliwie, z rubaszną niedbałością. Machała przy tem rękami, jakby się opędzała od much. — Jeżeli pan myśli, że mnie pan weźmie na to, co stoi w książeczkach, to się pan grubo myli. Ja panu z góry mówię, że ani jednego z tych żydów (Gide'ów) nie czytałam i nie będę ich czytała. Co mnie to obchodzi, że jakiś francuski, albo angielski bałwan głupstwa pisze?

— Wierzę tylko w Marxa i przysięgam na tę biblię! co? — drwił Wapowicz. — Jeden jest Allah i Mahomet, jego prorok!

— I na Marxa mnie pan nie weźmie, bo co to ma do robociarza, kiedy chce, żeby mu fabrykant dał dwa złote więcej? Żaden Marx nie nauczył go, że mu dziecko marznie w nieopalonym domu, albo że trzeba sobie kupić ciepłe majtki na zimę, choć się niema ani grdynia w kieszeni. Uczony niech sobie czyta Marxa, a mnie to poco!

— Szkoda, szkoda, że paniusia nie lubi książeczek, dowiedziałaby się pani, że te wszystkie utopie dobre są dla studencików, ale nie dla poważnych ludzi. Wtedy, kiedy człowiekowi szumi w głowie, kiedy pije, hula, gra w karty, lata za kobietami, rozbija swoją młodość po knajpach — tańczy, śpiewa, to go się trzymają romantyzmy, wiersze wtedy pisze, wzdycha do księżyca, lituje się nad kmiotkami, ale potem to się weźmie porządnie do roboty i będzie unikał ideowców, jak morowej zarazy.

— Ahaa! Tu cię boli! — zawołała Marta ku wielkiej uciesze Antka.

— Tak, tak, paniusiu! I paniusia będzie kiedyś spokojnie hodowała dzieci i rachowała pieniążki i krzyczała na służące i przeklinała chłopów, że kradną i że są brudni i będzie paniusia zatykała nosek, jak ekonom przyjdzie z raportem. A wie pani, dlaczego na wsi jest świeże powietrze? Pewno nie. Bo chłopi okien w chałupach nie otwierają.

— Ha, ha, ha! — huknął śmiechem pan Bielski.

— Czy panu obszarniki płacą za takie gadanie? — A może pana pomidory wynajęły za agitatora? Nie? No, to nie. Ale musiał pan kalikować w Psikowskim kościele u organisty, no przyznaj się pan!

— Ha, ha, ha! — śmiał się znowu pan Bielski, a za nim wszyscy.

— U organisty to nie, ale w preferka to i ja grywałem u proboszcza z panem Bolesławem.

— A co? a co? Nie mówiłam panu? Starość nie radość, panie Wapowicz, widzę, że pan już trąci szlafrokiem, preferek, pantofle, pierzyna, dobry obiadek, — jeszczeby się przydała tłusta posadka z łapówkami w warszawskim magistracie — nie? No, to nie.

— A paniusia kochana, to tylko agitacyjki, demonstracyjki, broszurki, latania po chałupach, po suterenach warszawskich — że się to też paniusi nie znudzi. E, pewno się znudzi, bo to tak jedno w kółko, dookoła Wojtuś!

— Czy się znudzi, czy nie znudzi, nie pana rzecz! — palnęła nagle Marta, której twarz się skurczyła groźnie, pomimo uśmiechu.

— Paniusia zaraz się gniewa! — żartował, kryjąc niepokój Wapowicz. — A ja tak tylko dlatego, że pani dobrze życzę, słowo honoru. Bo niech tylko paniusia zauważy, czy to nie ostatnia głupota, żeby wyprowadzać tych biednych robotników w Aleje, żeby ich tam kozacy potłukli! Co im z tego przyjdzie, niech paniusia powie! To tak zawsze, kiedy studenterya się bierze do polityki.

Julek czuł, że tężeje, że krzesło jakby pod nim niknie, a stół zaczyna się chwiać. Trzymał w ręku nóż, którym obierał jabłko. Nóż wrył się w owoc, Julek bał się ręką ruszyć, bał się spojrzeć na Wapowicza. Musiałby wtedy uczynić coś okropnego, co usiłował powstrzymać całą siłą. (C. d. n.)

ZYGMUNT KLINGER.

NOWA PARTYA.

III.

Pozytywizm i „praca od podstaw“, która w społeczeństwie samorządnem podjęta i poprowadzona w zgodności ze swem założeniem ideowem, mogła przyczynić się do oświatowego i ekonomicznego wzmocnienia szerokich mas narodu, do ich organicznego powiązania — u nas, wobec utrudnionego i niedostatecznego oświetlenia dróg polityki narodowej, chroniąc się od wilczych dołów, przez rząd najezdniczy zdradliwie pokopanych, zeszła rychło na manowce i doprowadziła naturalnego swego reprezentanta, burżuazyę, do — „ugody“. Ten policzek, wymierzony własnej, niedawnej, a chlubnej przeszłości, to cyniczne oplucie krwi, przelanej w świętej walce o wolność, to skastrowanie się etyczne i moralne — przeniosło środek ciężkości polityki narodowej z Warszawy do Petersburga; oparto poranioną i zdezoryentowaną myśl narodu, zamiast o niedawne, wielkie postacie własnych dziejów, o postać — białego cara. Podeptano cały kulturalny dorobek najszlachetniejszych wysiłków ostatniego stulecia, wstrzymano cudownie niegdyś poczęty renesans ducha narodu, a myśl jego za upragnioną, a nawet nieotrzymaną cenę klasowych korzyści spychano coraz niżej, aż do bagnisk lojalizmu i wiernopoddańczości. Tu kończy się uprawnienie moralne burżuazyi do roli kierowniczej w polityce narodu, a wszelkie przez nią odtąd w tej dziedzinie podjęte zapoczątkowania, choć pierwotnie mają nawet czasem pozory siły żywotnej i rzetelnego ukochania sprawy, prędzej, lub później stwierdzają, że są tylko odruchem brutalnego egoizmu klasowego, że, pozbawione szerszych horyzontów, wzorowane bezkrytycznie na nacyonalizmie prusko-junkierskim, nie odpowiadają położeniu, ani potrzebom narodu, że — o ironio! — powstałe niegdyś, jako reakcya przeciw „ugodzie“, prowadzą w rezultacie do takiej samej deprawacyi, do takiego samego bankructwa, do — polityki „bez zastrzeżeń“. Jest coś z kasarnianej soldateski w psychice i myślach „nowoczesnych polaków“. „Gemein nach unten, kriecherisch nach oben“.

Czy mogła tedy — pytam — oficyalna reprezentacya narodu o takiej jakości intellektualnej i etycznej zasymilować obce wśród społeczności elementy, czy mogła wywierać ów fascynujący urok, który wartości niższe porywa, przetapia, wchłania? Wszak asymilacya żydów w Niemczech np. szła śladami Szyllerów, Heglów, Humboldtów, Herderów i t. p., a nie śladami Bismarków, ani Hohenzollernów. Nasi „geniusze“, którzy niegdyś w młodości swej, na rubieży czasów, idealizmem wiedzeni, puścili się „Za chlebem“ „Przez stepy“ — wnet je porzucili, by wśród barbaryzmu „Ogni i mieczy“ wychować dorastające pokolenia. Dziś tak samo, jak przed piętnastu laty, „Syzyfową pracą“ są wysiłki „Drów Piotrów“, dziś tak samo, jak dawniej, „nowoczesny polak“ oburza się na łajdaka, który „nawet na trumnę kradnie“, a „Judymowie“ nadal zostali „bezdomni“, zniesławieni i oplwani, jako wrogowie ojczyzny i narodu. Walor i wpływy ma Sodalis Marianus, „król kurkowy“, p. Połaniecki, prezes kongregacyi kupców chrześciańskich, honorowy członek „Sokoła“ i „Gwiazdy“ — „szczery demokrata“, a jakże. Czasem któryś z tej rodziny odeśle zaproszenie, czy list, bo mu się jako „c. k. hofratowi“ austryackiemu należy tytuł „Jaśnie Wny“, a nie samo „Wny“ — niemniej jednak nie przestaje być „demokratą“ i to nawet „chrześcijańskim demokratą“.

„Śmiech z takiej wiosny, śmiech z takiego przebudzenia!“

Gdyby w tem tyle smutku nie było — — —

A żydzi? Na skutek zmiany systemu produkcyi, na skutek nowonabytego prawa posiadania ziemi — w charakterze kupców, przemysłowców, adwokatów, dzierżawców, bankierów i lichwiarzy wciągnięci w p e w n e j i l o ś c i w formy nowoczesnego życia ekonomicznego, bogacą się, tworzą specyficzną „burżuazyę żydowską“ i asymilują się w miarę potrzeb, w miarę „interesu“, w perspektywie mogącej stąd płynąć korzyści. To asymilacya poczęta nie z ducha, nie jako zdrowa i naturalna, konieczność rozwojowa, poczęta nie u dołu, jako rzetelnie odczuta potrzeba życiowa, lecz częścią przez chamstwo i barbaryę, częścią przez zawsze żywą wyniosłość i ekskluzywność szlachecką społeczeństwa narzucona f o r m a, pozbawiona istotnej treści, bez organicznej spoistości, bez witalicznego imperatywizmu. Poczęta via Wiedeń i Berlin, wzmacniana „in Reichenhall, Ischl, Karlsbad und so weiter“, nie wyrosła z wewnętrznych walorów etycznych — była tylko s y s t e m e m ż y d o w s k i e j p o l i t y k i b u r ż u a z y j n e j, przystosowanym do wymogów i potrzeb rządzącej szlachetczyzny, była sui generis „ugodą“, zabezpieczającą kontrahentom wcale niezłe korzyści. „Moszki“ dostały na łup kahały, propinacye, starostwa i prowincyonalne ciała autonomiczne — szlachetczyzna zaś rybne ławy głosów żydowskich przy wszelkich wyborach sejmowych i parlamentarnych. „Izraelici“ ci wyrośli z szacherki, lichwy i oszustwa, stali się rozsadnikami upodlenia i korrupcyi, którą dobijali i cofali swoich, którą pozarażali aryjczyków.

O szerokie masy ludu żydowskiego nie dbał nikt. Ani ze strony oficyalnej polskiej, ani ze strony „izraelitów“ niema żadnej ingerencyi, żadnego czynu, żadnej inicyatywy rzetelnej, a twórczej. „Akcya społeczna“ kończy się na interwencyi u inspektora podatkowego, u sędziego śledczego, u miejskiego inżyniera, albo wachmistrza policyi, gdy „robi urzędowanie“ na jakiejś wynędzniałej straganiarce żydowskiej. Prawda! Zakładają Koło T. S. L. im. Bernarda Goldmana i wydają „Jedność“. I kiedy, przystosowując się do nowych praw ekonomicznych, społeczeństwo zaczyna się gospodarczo emancypować, „Polacy mojżeszowego wyznania“, razem ze syonistami, w swej klasowej krótkowzroczności, nędzę żydów widzą tylko w „Kółkach rolniczych“, Kasach Raifeisena i t. p. i za cenę „Jedności“ chcą ich ratować wszystkiemi — koncesyami szynkarskiemi. Wielka polityka narodowa i ekonomiczna najwyższy swój wyraz ma w szeroko zorganizowanej filantropii, która przed każdem świętem rzuca masom ochłapy żebracze. Reprezentant żydów w Radzie Szkolnej unaradawia ich i chce „służyć ojczyźnie“ „praw-

dziwymi“ katechetami żydowskimi, którzy — nawiasem mówiąc — są przeważnie syonistami.

Czy mogła tedy — pytam — reprezentacya żydów galicyjskich, o takiej jakości moralnej i etycznej, o tyle pogłębić i ugruntować swój wpływ na masy, by go zachować nawet wtedy, gdy postępująca demokratyzacya urządzeń społecznych wytrącała im władzę z ręki? Ciekawych odpowiedzi na to pytanie pozwolę sobie odesłać do p. Jakóba Feuersteina w Drohobyczu.

„Śmiech z takiej wiosny, śmiech z takiego przebudzenia!“

Gdyby w tem tyle smutku nie było — — —

Gdy otoczenie postępuje zwolna naprzód, gdy się ekonomicznie europeizuje — masa żydowska kostnieje w przestarzałych, średniowiecznych formach bytowania, co powoduje w następstwie coraz większą jej niezaradność, coraz większą nędzę. W ostatnich kilkunastu latach ponadto, „chasydzi“, którzy dotychczas kosztem zarobkującego żydostwa pochowani byli po swoich „jesziwach“ i „klauzach“, zdala od wszelkiego życia i pracy — teraz na skutek zmiany stosunków musieli z nich powyłazić, wyjść na ulicę i szukać chleba. Tak pomnożyli zastępy proletaryatu, nie tylko nie wnosząc weń żadnej siły twórczej, ożywczej, ale wnosząc raczej obskurny fanatyzm, arogancyę, zarozumiałość i tendencyę separatystyczną. Barbarzyństwa caratu, klerykalizm i szlachetczyzna w Polsce dokonały reszty. Zewsząd gnębiona masa żydowska porywa się do myśli samoobrony, której pierwszym, bezkrytycznym wyrazem syonizm. Znane zjawisko anemii myślowej straceńców, którzy dziś goniąc ostattami — jutro mają spaść do rzędu bezdomnych proletaryuszy. We Wiedniu chrześciańsko-socyalny „grajzlernik“ i szynkarz przedmiejski widzą przyczynę wszechzłego w żydzie, syonistyczny kupczyk i faktor widzi ją w „goju“. Proletaryusz warstatowy i fabryczny — o ile go uświadomiono — poszedł w socyalizm. (Dok. nast.)

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

Ciąg dalszy.

Jest jeden niezmiernie ciekawy, a mający doniosłe znaczenie moment, warunkujący o samej istocie i o formach, jakie przybrało zesłanie. Jest to odwieczny rozbrat pomiędzy czynnikami rządzącemi w Rosyi, a resztą ludności — rozbrat, który wycisnął niezatarte piętno na całej jej historyi.

Ściślej, a raczej ciaśniej, odnośnie do poruszonego przedmiotu biorąc, momentem tym jest stara nieufność, jaką rząd żywi do pozbawionych wolności wygnańców, wieczna, idąca krok w krok za wygnańcami obawa władz carskich, towarzysząca im aż do najbardziej bezludnych ustroni, nieopuszczająca ich w najdzikszych miejscowościach wysyłki, asystująca im aż po podbiegunowe kresy Syberyi, czuwająca u ich wezgłowia we wszystol lub *nie stol oddalonnych miestach**) rosyjskiego państwa. Zesłańcy są to wszystko zdecydowani i nieprzebłagani wrogowie rządu — za takich przynajmniej ten ostatni ich uważa.

Już przed 20 przeszło laty Jerzy Kennan, zwiedzając Syberyę, zauważył, że najładniejszym gmachem miasta Omska**) jest zarząd policyi i, że jest to miasto, „gdzie połowa mieszkańców nosi mundur cesarski i uważa za swe zadanie rządzić drugą połową“. Trafne to spostrzeżenie Kennana da się zastosować i teraz i to nie tylko odnośnie do tego, lub innego syberyjskiego miasta, lecz do całej Rosyi, z tą jedyną modyfikacyą, że umundurowana, rządząca „połowa“ jest właściwie znikomą garstką biurokracyi, siłą zakorzenionych tradycyi i mocą represyi utrzymującą w swoim ręku władzę nad blizko 140-cio milionową rosyjską i nierosyjską, innoroczą ludnością.

*) Dosłownie: miejsce nie tyle oddalone. Określenie popularne w Rosyi, oznaczające miejsce zesłania — stale dawniej używane przy formuł. odnośnych wyroków. (Przyp. aut.).

**) Miasto w zachodniej Syberyi. W Krasnojarsku największym i najładniejssym gmachem jest bezsprzecznie więzienie.

Mała ta klika żyje z wyzysku i krzywdy. Krzywdzony bywa stale nienawidzony przez krzywdziciela. Powtarza się tu, na większą tylko skalę, to samo, cośmy obserwowali, przy omawianiu stosunku części ludności miejscowej do wygnańców na miejscach zesłania. Rząd rosyjski, wyrosły z odwiecznej krzywdy, ma powody obawiać się swych „wiernych“ poddanych, obawa ta jest jednym z najbardziej zasadniczych momentów całego ich wzajemnego stosunku. Ona to zrodziła tę, trwającą stulecia nieufność, z jaką chłop rosyjski spogląda i spoglądać będzie jeszcze długie lata w oczy „czynownika“. Ona to, ta obawa, wydźwignęła mocne bastyony twierdz, służących nie tyle do obrony państwa przed „zewnętrznym“ wrogiem, co do zabezpieczenia się przed rewolucyjnemi zamachami wroga „wewnętrznego“ i ujarzmienia podbitych narodów. Ona to — ta odwieczna nieufność nakazała rządowi powstrzymanie oświaty, systematyczne głodzenie ludności, zakuwanie wszystkich odruchów jej życia w martwą i bezduszną gmatwaninę policyjnych przepisów. One to obie — ta obawa i ta nieufność — upstrzyły wszystkie miasta i miasteczka rosyjskie w niezliczoną ilość więzień, — carskich katowni, uzbroiła system państwowy w drogo moralnie i materyalnie kosztujący aparat policyjno-szpiegowski, zdążający do insynuowania każdemu obywatelowi państwa „nieprawomyślnych“, „nielojalnych“ wobec władzy przekonań. One to pobudowały we wszystkich twierdzach i więzieniach rosyjskich szubienicy, urządzają „pogromy“ i pogrążają w odmęt, nieustannej orgii niczem nieusprawiedliwionych represyi szczęście i spokój milionów; one to — i tylko one — przedewszystkiem tworzą kadry t. zw. „administracyjnej wysyłki“, odrywając rok rocznie setki i tysiące „niebłagonadiożnych“*) obywateli od miejsc rodzinnych i zaludniając nimi wygnanie.

*) Nieprawomyślnych.

Od czasów Ioanna III-go legła nieufność przepaścią niezgłębioną pomiędzy carem a Rosyą. Pogłębił tę przepaść Ioann Groźny — pogłębili, umocnili i ugruntowali ją Romanowowie. Wyrosły ta nieufność i ten lęk zdradziecki z synekur, łapówek i dobrobytu biurokratycznej kliki, rozpleniły się bujnie w złoconych komnatach cesarskich pałaców, wykwitły na gruncie ciężkiej a wiekopomnej krzywdy milionów ludzi i dziesiątka pokoleń. Wybujały one, ta nieufność i ten lęk zdradziecki, z wieloletniej krzywdy, grabieży i niewoli, z ujarzmienia całych narodów, z bezprzykładnego ucisku, trwającego stulecia. I nim ta krzywda i ta niewola i ten ucisk pozostaną niewzruszone, trwać będą i one — a jako jeden z ich przejawów, jeden z nieodzownych środków państwowego systemu, — pozostanie zesłanie. Co by o tem nie pisali Kennan lub Burcew, co by nie mówiła Europa, co by — wreszcie — o jej kosztowności nie twierdził minister oświaty, lub o jej złych skutkach na kresach państwa nie donosili w swych raportach gubernatorom — isprawnicy i władzom centralnym — gubernatorzy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jak już wspomnieliśmy o tem wyżej, większość zesłańców stanowią t. zw. „administracyjni", czyli skazani wyrokiem policyjnym na deportacyę. Rekrutują się oni z kategoryi osób t. zw. „niebłagonadiożnych" (t. j. podejrzanych) i bądź nigdy formalnie nie byli oskarżeni o jakieś przestępstwa, bądź (w mniejszości wypadków) stawali pod zarzutem, lecz pozostali z niego uniewinnieni. Wyrok jednak instytucyi sądowej nie bywa bynajmniej w Rosyi miarodajnym dla władz policyjnych. Uznani za niewinnych nie zostają wypuszczani na wolność lecz, po kilkumiesięcznym nieraz trzymaniu w kazamatach, jadą na „wolne posielenije" do Wołogdy, Kirenska, Jakutki itd. W tych wypadkach uwydatnia się jaskrawo różnica zdań pomiędzy władzą sądową a władzą, cywilną. Takie jednak rzeczy są w Rosyi na porządku dziennym. Przywykła doń, żyje z nich Rosya oficyalna. Co gorzej, nie reaguje nań dotąd sumienie całego rosyjskiego społeczeństwa. „Od tiurmy i od sumy nie obierossia"*) mówi apatyczna mądrość okradanego i dławionego od wieków narodu. Codziennie powtarzające się wypadki przestają razić siłą samego do nich przyzwyczajenia. „Co Rosyaninowi zdrowo — to dla Niemca śmierć" — głosi inne rosyjskie przysłowie — tak charakterystyczne w swem znaczeniu, usprawiedliwiającem wszystkie t.zw. osobliwości, rosyjskiej kultury. Wracając do stosunków więziennych — faktem jest, że trzeba było aż Kennana by podnieść niektóre, wstrząsające do głębi każdym, żyjącym w konstytucyjnych warunkach — osobliwości Syberyjskiego wygnania. Jako obcy — przywiózł Kennan ze sobą zdrowe, niestępione nerwy i zdolność patrzenia.

A my? — Nie mamy co prawda przysłów rosyjskich, lecz — czy nie przywykliśmy do niewoli?... Czy nie tańczyła w karnawale Polska przy odgłosie haniebnych wyroków, skazujących na śmierć jej synów? Czy uderzyło żywszem tętnem jej serce na wieść o smutnym losie wygnańców? Czy zbudził ze snu twardego Warszawę skrzyp nieustanny zawieszonych nad jej głową szubienic? Czy odezwały się tu — za kordonem — protest, lub echo współczucia, gdy wieszano Mireckiego?...

Śmieszną jest nędza Polska i tragiczne jest Polski uśpienie!

* * *

*) „Przed więzieniem i torbą żebraczą się nie ustrzeżesz".

SPRAWOZDANIA.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: BAJKA O ŻELAZNYM WILKU. (Z 12 rycinami i winietą okładkową Jana Rembowskiego).

Był raz dobry Król, miał żonę, dwoje dzieci i pałac wśród szerokich pól, wśród szczęśliwych mieszkańców królestwa. Pewnego razu Król wyjechał na polowanie, a opadnięty przez wilki, schronił się na drzewo. Ale i tam dopadł go Żelazny Wilk, jednak puścił go wolno, otrzymawszy przysięgę, że na zawołanie, w zakład przymierza, otrzyma: „to, czego nie było jeszcze nigdy, a jest już w twoim pałacu, co choć twoje jest, a czego nie znasz, w czem przyszłość i teraźniejszość łączą się niby wody zlewających się rzek". Od tej chwili Król stracił pokój, otoczył zamek grubymi murami, a u bramy umieścił Naczelnego Strażnika. W królestwie zapanowały nieszczęścia i ucisk jednych przez drugich. Król znosił wszystko, gdyż lękał się groźby Żelaznego Wilka. Doszło nareszcie do wybuchu niezadowolenia wśród uciskanego ludu. Wraz wilki napadły na państwo Króla. Lud ocalił Króla, gdyż znał jego dobre serce, a świeżo otrzymał przyrzeczenie, że zapewniona mu będzie opieka przed uciskiem rycerstwa. Przyrzeczenie pozostało pustem słowem; wodzowie ludu dopuszczeni zostali do rycerstwa; nad resztą ludu trwał dalszy ucisk. Król nie miał woli, gdyż lękał się ciągle Żelaznego Wilka. Tak doszedł lat sędziwych, syn i córka dorośli. Wtem dano znać, że Żelazny Wilk ciągnie na zamek. Przerażony król poddał się woli Naczelnego Strażnika, który zapewnił ocalenie zamku, jeżeli w zamian otrzyma panowanie i rękę Królewny. Rozpoczęło się oblężenie. Królewicz i królewna zdołali się wymknąć przy pomocy poczciwego błazna królewskiego, Bączusia. Zamek został dobyty, panem jego stał się Żelazny Wilk, który odszukał Królewnę, poślubił ją i królował tak samo, jak jego poprzednik. O uwolnieniu ludu z ucisku nie pomyślał. Zapytywany przez Królewicza, dlaczego tego nie czyni, choć sam z ludu pochodzi, mawiał: „Ulżymy i jego doli... zwolna przerobimy wszystko... Ale sam widzisz, czyż można od razu... Wieki to narastało, wieki przerabiać trzeba"! I nic nie czynił. Wtedy Królewicz opuścił zamek. Słuch wszelki o nim zaginął. „Troskała się siostra, popłakiwała, wywiadywała. Aż po długim czasie doszła do zamku wieść głucha, że pojawił się wśród ludu gęślarz cudowny (Królewicz grał prześlicznie), który nieszczęśliwym, biednym, cierpiącym wygrywa na złotych gęślikach piosenki otuchy i pociechy".

Nietrudno zrozumieć alegoryę i symbolikę opowieści Sieroszewskiego. Pożyteczna dla młodzieży, gdyż zawiera mnóstwo materyału baśniowego, a równocześnie uczy kochać i dobrze czynić. Przez tendencyę szlachetną równie interesująca dla starszych, nadaje się na doskonałą lekturę w kole rodzinnem podczas długich, zadumanych wieczorów zimowych. Prześlicznie wydana, stanowić będzie najpiękniejszy tego roku podarunek gwiazdkowy i będzie roznosiła wśród dziatwy polskiej dobre, serdeczne uczucia dobrego pisarza i człowieka.

NOWA FRANCYA LITERACKA. Książka pana Jana Lorentowicza trafiła w sam raz w serce społeczeństwa. Przyszła bowiem wtedy, gdy coraz cięższej, coraz pochmuniej odczuwamy brak nici przewodniej między kulturą łacińską, której jesteśmy potomkami, a duszą Polski, skorą zawsze do zboczeń z drogi wychowania narodowego.

Byliśmy Rzymianami wschodu w czasach zalewu turecko-tatarskiego i potem Francuzami północy, nie z powodu manii naśladowczej, lecz zgoła już z wrodzonej pochopności do kroczenia po linii ducha łacińskiego.

Młoda Polska zaprzepaściła tradycyę i w źródłach niemiecko-skandynawskich gasiła swe pragnienie.

Garść nieledwie została wierną dawnej szkole.

Do tej chlubnie zapisanej w dziejach naszych szkoły łacińskiej należy niewątpliwie p. Lorentowicz.

A w obecnej swej książce przyjął on na siebie rolę pośrednika, tłumacza *con amore* tajemnic twórczych młodego pokolenia Francyi. Może nikt w Polsce, jak długa ona i szeroka, nie był sposobniejszym do takiej pracy.

Wyrosły niemal nad Sekwaną, świadek i uczestnik wielkich przemian, jakie odbywały się w literaturze końca zeszłego stulecia we Francyi, cygan z tej samej paczki — wojujący namiętnie o prawa nowej sztuki, o każdą świeżą książkę przewracającą opinię i trzewia Akademikom.

Oto tych rozmyślań, przeżyć, kłótni tom spory.

Zadaniem pana Lorentowicza było stworzyć szereg najpodobniejszych portretów ludzi, z którymi żył i działał, o których kruszył kopie.

Metoda niezawodna, o ile się posiada moc malarską, stworzenia wizyi człowieka-twórcy.

Do wnętrza — do ostatniej myśli, do przeźroczy mózgowych, to pokusa dla krytyka dzisiejszego.

Dzieło samo przez się jest aktem-czynem, z niego zaś wydobyć ma krytyk pobudki twórcze i zjawiska duszy artysty, które usprawiedliwią konieczność napisania tej, a nie innej książki. — Galerya p. Lorentowicza składa się z postaci nieznanych ogółowi Europy; być może dlatego, że nie wszystkich zająć zdołają przedziwni smakosze piękna, samotnicy, dziwacy, wogóle typy mniej, lub więcej wykolejone ze ścieżki, prowadzącej prosto w mury Panteonu, lub objęcia niezamąconych rozkoszy mieszczańskich. Tworzą oni koła, kółka, fale, nurty na morzu jednego wielkiego piękna.

Każdy pisarz — mówi de Bloy — winien nosić na twarzy swe książki, ale tych twarzy nie cierpiał czytelnik, bo pokryte były nienawiścią i pogardą dla spraw ustalonych, a książki wiodły go w sfery, do których przygodny miłośnik sztuki nierad wchodzi.

Czytelnik znajdywał w dziełach Piérre Louisa rozpustę, choć autor nigdy jej nie miał na myśli — w marzeniach Huysmansa dopatrywał się wstrętu do życia, choć ono rozdaje honory, legie i fortuny, odrzucał ideologię Gida i zgoła niezajmującą zdawała mu się erudycya Schwoba.

Czytelnik pragnął rzeczy łatwych, a tu na przekór całej popularności, obdarowywali go pisarze zawiłymi i niedostępnymi problemami istnienia.

Do oświetlenia tych zapoznanych prawd, nieprzeniknionych przez ogół, zabrał się p. Lorentowicz z ogromnym aparatem bibliograficznym.

A chodziło autorowi o wydobycie na jaw indywidualności ze wszech miar ciekawych, mogących zapłodnić nie tylko najbliższe koło wyznawców, ale i piśmiennictwo polskie.

Zbiorem osobliwych rzadkości nazwałbym książkę p. Lorentowiczą, raz dlatego, że jest jedyną w swoim rodzaju w literaturze współczesnej Europy, a po drugie, że mówi o ludziach, których wziętość kończy się na niewielu wielbicielach.

Pisana barwnie, z brawurą, pięknym, czystym językiem, robi wrażenie poematu, którego każdy rozdział prawi o nowych wypadkach i nowych bohaterach.

Wolna od szczegółów obciążających, jest dziełem sztuki, a tem samem nie przechodzi w poczet martwych archiwów, przeznaczonych dla badacza.

Autor „Nowej Francyi“ ma wiele pobłażliwości przyjacielskiej dla swych bohaterów.

Zjawiają mu się dobrzy, pyszni, dumni, wykolejeni często z torów życiowych, ale zawsze warci względów i ciągle ciekawi. *W. B.*

PARĘ SŁÓW O NOWEJ POWIEŚCI „KS. JAN“. Niezwykłem zjawiskiem w naszej literaturze powieściowej jest wydana obecnie pierwsza część „Trylogii“ powieściowej pod nagłówkiem „Fiat lux“; obejmuje ona wypadki życiowe ks. J a n a K o s a; przedstawia fakty najprawdziwsze, których widownią była Galicya; pisana bez przesady, oddająca w wielce interesującej narracyi wszystkie skutki bezżenności księży. Autor, piszący pod pseudonimem Z i m o w i t S ę p, stawia przed oczy czytelników, jak taki przymus, narzucony człowiekowi, zwyradniać go musi z konieczności, a taki człowiek ma być przecie przewodnikiem, przykładem, nauczycielem ludu!

Wielu z owych ludzi, przez nakaz niehygieniczny, grzeszący przeciwko prawom fizyologicznym zdrowego organizmu, sądzonemu na zwyrodnienie, ratuje się bądź świadomie, bądź bezwiednie przez t. z. „wolne małżeństwo“, żyjąc w związkach stałych z t. z. gospodyniami, lecz niestety większa część pędzi życie w cudzołóstwie, rozpuście, niemoralności, dając zły przykład i szerząc niemoralność dokoła siebie

Nasi przodkowie w wieku XVI-tym mieli daleko rozumniejszy pogląd na celibat księży, niż my go mamy obecnie; jedni, jak np. władza miejska w Przemyślu, radzili sobie, „zabraniając mieszczanom wszelkich stosunków z duchownymi, odsuwając ich od „ognia i wody“ z powodu „nikczemnych obyczajów“; drudzy występowali na sejmach, potępiając bezżeństwo księży. Oto np. co powiedział Z ą b s k i, poseł ziemi Sieradzkiej, na sejmie piotrkowskim w r. 1559, gdy stanął w obronie ks. O r z e c h o w s k i e g o, który się był ożenił.

„Mówią“ — rzekł poseł Z., „że bezżeństwo jest cnotą; ależ my czujemy w naturze naszej zarody wszystkich cnót; niechaj kto powie, zacząwszy od pierwszego człowieka do ostatniego, jeśli było jakie stworzenie, któreby czuło skłonność do bezżeństwa! Postanowiono, że aby być doskonałym, należy żyć w t. zw. czystości. Niech ginie ten blask fałszywej cnoty, która rodzi cudzołóstwo, rozpustę i zbrodnię“.

„Kiedy się kapłan odezwał z prawami człowieka, głosem rozumu i serca ludzkiego, ukarano go jako zbrodniarza! Cóż to za prawo!.. Stworzenie ośmieliło się poprawiać Stwórcę, odkryło wady w naturze człowieka, którego Bóg podobnym do siebie uczynił. Co jest darem przyrodzenia, tego mu odbierać nie wolno“!

„Jak nie pozwalać ludziom zarobku jest tem samem, co zmuszać ich do kradzieży, tak zabraniać żon jest zezwoleniem na wszeteczeństwo? W tem żadna mądrość ludzka środka nie znajdzie“! Ząbski, zwracając się następnie do króla, obecnego na Sejmie, tak rzecze: „Pamiętaj M. P., aby nie powiedziano, że za Twego panowania nie wolno było obywatelowi być człowiekiem“.

Podobne do przemówienia Z ą b s k i e g o były i inne mowy; tak np. R a f a ł a L e s z c z y ń s k i e g o, J a n a T a r n o w s k i e g o, M a r c i n a Z b o r o w s k i e g o, L a t a l s k i e g o, K m i t y etc. Gdy biskup Z e b r z y d o w s k i zapytał hetmana T a r n o w s k i e g o „Czemże ja będę w Polsce, T a r n o w s k i? jeśli mi heretyków sądzić nie wolno? woźnym? czy biskupem?“, na to hetman odpowiedział: „Przyzwoiciej Tobie Z e b r z y d o w s k i być woźnym, niż mnie twoim niewolnikiem“. Jeżeli porównamy naszą przeszłość męską, odważną, rozumną, z dzisiejszem naszem tchórzostwem niewolniczem wobec sutanny — to przyznać będziemy musieli, że deprawacya umysłowa olbrzymie zrobiła postępy! Dosyć przypomnieć sobie przemówienie hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii nauk i Marszałka krajowego na zjeździe Sodalisów w Przemyślu i porównać z przemową hetmana Tarnowskiego, ażeby tę całą olbrzymią różnicę zrozumieć.

Już przeszło miesiąc, jak pierwsza część „Trylogii Fiat lux“ została rozesłaną po księgarniach, ale, z wyjątkiem redakcyi „Kurjera Lwowskiego“, wszystkie inne milczą upornie, udając, że nic o tej powieści nie wiedzą. Czy tchórzą przed księżmi? czy się boją dewotek? Wszak z racyi tchórzostwa nasi kierownicy opinią publiczną nie pojechali do Rzymu. Gdzie nam dzisiaj szukać Z ą b s k i c h i innych wyżej wymienionych! my mamy tylko tchórzów, obłudników, niewolników kleru. Nawet ów instynkt samozachowawczy, odziedziczony po przodkach, zaginąć musiał, skoro dzisiaj nie odczuwają już wcale tego, że bezżenność księży jest jedną z największych bolączek naszego społeczeństwa. To też powieść „Ks. Jan“ jest na czasie; oby ona otworzyła oczy i rozbudziła myśl, wskazując na konieczność zaradzenia złemu, rozwielmożnionemu u nas tak powszechnie. *Dr. B. Dybowski.*

KRYTYKA (za grudzień 1911) przynosi artykuł wstępny (f) Naród się zgubił, Grabowskiego rozbiór pracy J. K o n c z y ń s k i e g o: O stanie moralnym społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej, S t u d n i c k i e g o: Sprawę chełmską, P o s n e r a: Zoologię dziennikarską, L u x a: Z religii wolnych dusz, R o z m u s k i e g o: Aktualne rozważania na temat Rosyi i Polski. W części literackiej pomieszczono utwory i rozprawy Orkana, Sobeskiego, Mirandoli, Rakowskiej, Wojnarowskiej, J. Dąbrowskiego i Skrudlika. W dodatku artystycznym dano dwie reprodukcye z Wyspiańskiego: portret własny i Borutę. Obie części zamykają, jak zwykle, przeglądy na czasie i sprawozdania.

MYŚL NIEPODLEGŁA (za grudzień 1911) podaje kilka doskonałych artykułów i notatek. Marg. Wielopolski powiedział do duchowieństwa katolickiego, że „nie ścierpi rządu w rządzie“, za co spotkała go zemsta tegoż duchowieństwa. W jaki stało się to sposób, podaje artykuł: „K t o o b a l i ł W i e l o p o l s k i e g o?“ „R e s t a u r a c y a k a t o l i c y z m u w P o l s c e“ przynosi szereg faktów o zabójczej dla Polski niepodległej polityce rzymskiej. „W i e ś ć o m a j o r z e P r z e b o r o w s k i m z r. 1698“ zaznajamia z nowem nazwiskiem umęczonego przez obłudę fanatyzmu wolnomyśliciela Polaka. Ciekawe wyjaśnienia daje notatka: „D l a c z e g o ż y d z i n i e j e d z ą ś w i n i n y“. „P a t r y o t y z m a S ł o w i a ń s z c z y z n a“ czyni ciekawe uwagi na temat Czech i Rosyi. „E s c h a t o l o g i a c h r z e ś c i j a ń s k a a k o ś c i ó ł“ zastanawia się bardzo interesująco nad istotą etyki i moralności chrześcijanizmu. Notatki na czasie i sprawozdania dopełniają całości, dostrajając się konsekwetnie do charakteru pisma.

SILVA RERUM.

KU CZCI KOŁŁĄTAJA. W lokalu „Polskiego Stronnictwa postępowego" odbyło się onegdaj wieczorem, zwołane z inicyatywy Klubu społeczno-naukowego, zebranie liczniejszego grona osób, celem zawiązania komitetu dla urządzenia obchodu setnej rocznicy zgonu ojca demokracyi polskiej, ks. Hugona Kołłątaja.

Obrady zagaił dr. Michał Janik, podnosząc wymownie wielkie znaczenie ks. Kołłątaja, zarówno w tragicznej epoce rozbiorowej, jak niemniej w stosunku do czasów dzisiejszych w bogatej spuściźnie ideowej, jaką zostawił nam nieśmiertelny twórca Konstytucyi Trzeciego Maja.

Po objęciu przewodnictwa przez, wybranego jednomyślnie prezesem, rektora Pawlewskiego — dr. Janik naszkicował w najogólniejszych zarysach program obchodu, na który złożyć się mają, oprócz wieczorów patryotycznych, uroczysta Akademia ku czci Kołłątaja i ewentualnie zjazd jego czcicieli z wszystkich zaborów.

Nad projektem tym wywiązała się obszerna dyskusya, w której zabierali głos pp. prezes Rawita-Gawroński, prof. Romer, red. Laskownicki, dr. Janik, red. Fryling, Kulczycki, Popiel i inni. Szereg poruszonych w tej dyskusyi myśli i projektów, jakoteż oznaczenie terminu uroczystości, przekazano komitetowi ściślejszemu, który wybrano na końcu posiedzenia.

Skład komitetu ściślejszego jest następujący: prezes rektor Pawlewski, wiceprezesi: Franciszek Rawita-Gawroński, dr. Romer, dr. Hozer i dr. Aleksander Lisiewicz; sekretarze: dr. Eugeniusz Nowicki i dr. Kazimierz Świtalski; skarbnik dr. Kazimierz Hartleb. Członkami komitetu pp.:

Aleksandrowiczówna, dr. Aschkenase, dyr. Bałaban, radca Berson, Bersonowa, radca Bogdanowicz, red. Dąbski, inż. Downarowicz, dr. Dwernicki, red. Fryling, dr. Grek, dr. Gubrynowicz, dr. Hahn, poseł Hudec, dr. Janik, dr. Kallenbach, Kulczycki, Lewicki Bol., Lewicki Henryk, red. Laskownicki, Laskownicka, dr. Młynarski, dr. Merwin, dr. Niemiec, Pawłewska, Popiel, Reutówna, Ruffowa, inż. Sikorski, poseł inż. Śliwiński, Śliwińska, dr. Schleicher, Szalit, dr. Wasserberger, red. Wysłouch, dr. Wyrostek.

ZŁOTY CIELEC. W niewielu ostatnich latach mamy do zanotowania w społeczeństwie naszem najokropniejsze wypadki łakomstwa i ściśle z niem związanego bezgranicznego zdemoralizowania. Zdrowie publiczne musi się uczuć gwałtownie zaatakowanem. Nie są to bowiem zwyrodnienia ludzi nieoświeconych, gdzie wina mogłaby być raczej przypisana społeczeństwu, które nie umie, czy nie może roznosić światła publicznego, ale są to zbrodnie ludzi na świeczniku, ludzi uprzywilejowanych, którzy roszczą sobie prawo do kierowania opinią zbiorową i o prawo to prowadzą walkę bezwzględną, nieprzebierającą w środkach. Choroba zaraźliwa ogarnęła zatem sam trzon społeczeństwa, mniejsza o to, czy na tę nazwę zasługujący, w praktyce jednak wolę zbiorową wyobrażający, przez wielką część tego społeczeństwa słuchany bez zastrzeżeń.

Fałszerstwo testamentu Ogińskiego w Petersburgu postawiło na ławie oskarżonych nie bodaj jakich matadorów, bo nawet duchownych katolickich narodowości polskiej. Frymarka ordynacyi Sułkowskich pokazała niegodną chciwość magnatów, którzy zrobili wprawdzie jakieś obietnice na rzecz edukacyi publicznej, ale żadnych dotychczas nie dopełnili i zrobili dobrze, bo nie wprowadzili do spółuczestnictwa i nie splamili w ten sposób moralności publicznej. Nie każdy pieniądz jest godnym, aby był obracany na cele narodowe. Systematyczny rabunek i skrytobójstwo w Częstochowie, przez wielu za świętość uważanej, odsłoniło zgniliznę moralną mnichów i niepojętą potęgę ciemnoty i obłudy. Nadużycie łatwowierności rozmodlonego ludu, zbeszczeszczenie miejsca pielgrzymek i kultu uczucia — nie zostały dotychczas ukarane, a nad zatarciem prawdy pracują w równej mierze biskupi katoliccy i przekupni włodarze rosyjskiej administracyi i sprawiedliwości. Ohydna zbrodnia hr. Ronikiera, który kuglarstwem prawowierności łacińskiej chciał się zasłonić przed należnym wyrokiem, znalazła obronę lekkomyślnej powieściopisarki. Nareszcie przed forum trybunału galicyjskiego znalazła się paskudna sprawa Boguckich i Wolańskich. W akta procesu wmieszane nazwisko byłego prezesa Koła polskiego, p. Głąbińskiego, który iście niezrozumiałym sposobem wmieszał się w sprawę, nie pozostającą w styczności z żadnym urzędem, jaki kiedykolwiek piastował.

Powiedział stary Grek, że niema tak wysokiego muru, któregoby osioł, obładowany złotem, nie umiał przeskoczyć. Czy można się zgodzić, aby zdanie to było prawdą? Wszakże odnosiło się do czasów, kiedy Grecya była w rozbiciu moralnem i społecznem. To samo zdanie, powtórzone później przez ambitnego Numidyjczyka, odnosiło się również do czasów upadającego świata rzymskiego. Nie wolno zgodzić się na takie zdanie wam, którzy chlubicie się moralnością chrześcijańską. Nie zgodzili się na nie i nie zgodzą się nigdy wolnomyśliciele wszystkich narodów, którzy, prawa moralnego w własnem sercu szukając, i w doskonalącym się ustroju społecznym wierzą niezłomnie w ostateczne zwycięstwo człowieka dobrego. Odczuwanie opinii publicznej należy zaostrzyć, sąd bezwzględny w życiu towarzyskiem przeprowadzać, ażeby zbrodnia i nikczemność nie budowała sobie ołtarzy, ażeby różnica między złem i dobrem ściśle była rozgraniczona. Inaczej spełni się na nas straszna groźba, zapowiedziana przez wielkiego nauczyciela narodu: „upaść może naród szlachetny, zginąć tylko nikczemny".

Z TEATRU. (Wznowienie „Maryi Stuart" — tragedyi w 5 aktach J. Słowackiego).

(S. F.). Zdawało się, że scena otrząśnie się po papach, oficerach i tym podobnych farsach, że wreszcie rozebrzmi poezyą zmieniona w świątynię Juliuszowej sztuki. Wznowienie „Maryi Stuart" wykazało jednak, że nie tak łatwo wymieść śmiecie i zmienić oblicze. Przedewszystkiem skonstatować można było, że grzechy mszczą się: na jaw wyszła niezdolność wygłoszenia wiersza Juliuszowego. Poezya, prócz kilku scen, jakby zaginęła — w teatrze jej nie było. Artyści recytowali wiersze, jakby bez zrozumienia piękności, jaką je wyobraźnia poety przesyciła, dłuższe ustępy, jakby z zawstydzeniem („jak można coś podobnego wkładać w usta współczesnego aktora"?), a zawsze z bezradnością, którą usiłowano pokryć żywymi gestami, gwałtownymi ruchami...

W pewnych tylko scenach dzięki staraniom niektórych artystów ożyła tragedya: takim momentem była przedewszystkiem scena śmierci Nicka, którego doskonale opracował i odtworzył p. Fritsche, także ostatnia scena, w której silne tony wydobyli p. Siemaszkowa i p. Żelazowski. Rolę Duglasa poprawnie zagrał p. Szobert.

Jako obraz dekoracyjnej oprawy tragedyi, niechaj posłuży scena śmierci Nicka: domek myśliwski króla nie tylko skromniej, lecz podlej nie mógłby wyglądać na amatorskiej prowincyonalnej scenie!

Całość, mimo wysiłki niektórych artystów, wypadła gorzej, niż miernie. Tak więc znikają wszelkie pretensye, jakieby można rościć do kierownictwa z tego powodu, iż w cyklu utworów dramatycznych polskich należałoby dla przedstawienia twórczości Słowackiego ukazać jedno z późniejszych dzieł, niegranych dotąd na naszej scenie, zdobyć się na taki eksperyment, jak wystawienie np. „Samuela Zborowskiego". Tak nieuzasadnione żywić pretensye — broń Boże!

Z RAPTULARZA.

W UKŁADZIE SIŁ PARLAMENTU wiedeńskiego zaszła doniosła zmiana. Stronnictwa czeskie weszły otwarcie w skład większości rządowej. W opozycyi pozostała, oprócz socyalistów czeskich, tylko grupa postępowa Stransky'ego i Masaryka.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA. Pod Trypolisem odnieśli Włosi drugi sukces: pobili oni milicyę arabską pod Ain-Zaira i zdobyli nawet 8 dział (po raz pierwszy w tej wojnie). Bitwa była mimo wielkiej przewagi liczebnej i artyleryjskiej Włochów nadzwyczaj uporczywą i trwała 12 godzin. Turcy i Arabowie skoncentrowali się w wąwozach Gargarasz, które Włosi muszą zdobywać chcąc dostać się na południe. Na razie nie rozpoczęła flota włoska ataku na Dardanele, które Turcy szybko fortyfikują.

W CHINACH. Po zwycięstwie wojsk cesarskich w Hanjang, a republikanów w Nankinie nastąpiła przerwa w operacyach wojennych. Toczą się pertraktacye, dotąd bez rezultatu. Rząd cesarski grozi interwencyą Japonii.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce.	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.